W numerze: Na tropach łódzkiego Września ● Zagwiżdż w nierzeczywistych ciemnościach ● Listy z Wielunia ● Pouczająca włóczęga ● Wiersze ● Kot mordercy ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy

TYGODNIK ROK VII

Nr 38 (342)
20. IX. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

JANUSZ ROSZKO

Niebieska kamienica

Tamte lata, po okupacji spędził w Zamościu, pośród cudów architektury i obdartych dzieci. Wyrósł w Domu Dziecka, w ZMP-owskiej zielonej koszuli i w czerwonym krawacie wkroczył w świat. Na tym świecie wszystko było jasne i proste, jak w historii WKP(b). Tępić reakcję, drobnomieszczaństwo, sklepikarzy i kołtunów – popierać zdrową część społeczeństwa. Jeszcze w 1947 roku, jako ZWM-owiec pojawił się na ulicy. To był pierwszy czerwony krawat w Zamościu. Zbili mordę gówniarzowi, leżał w rynsztoku, oblany krwią, nikt nie chciał go podnieść. „Komunistyczne ścierwo" – powiadali. Wreszcie znaleźli go towarzysze z komitetu, zajęli się. Miał 15 lat, był już pierwszym wiceprzewodniczącym Zarządu Powiatowego ZWM. Potem, po zjednoczeniu wybrali go przewodniczącym ZMP.

Józek Mart, pierwszy czerwony krawat Zamościa, ciemne oczy palące się niemal fanatycznie w szczupłej, małej twarzyczce o wystających lekko kościach policzkowych. Gdy miał szesnaście lat – sfałszował ankietę personalną i dodał sobie dwa lata życia, żeby przyjęli go do partii. Przyjęli. Miał 17 lat – i był drugim sekretarzem Komitetu Miejskiego w Zamościu. Cenili go. Wiadomo – wtedy dla korzyści się nie szło do partii. Dopiero na Szkole Nauk Społecznych przy KC musiał sprostować datę urodzenia i wyjaśniać, jak to było.

Więc on, Józek Mart, który nie takie rzeczy przeszedł w Zamościu – przyjechał po szkole partyjnej do Chełma, żeby rozwalić sobie łeb ostatecznie o jakąś tam narożną, niebiesko pomalowaną kamienicę. Kiedy w Zamościu na egzekutywie KP wrzasnął, że I sekretarz jest kacyk i dzierżymorda i że tego nie można tolerować – odebrali mu zaraz legitymację partyjną. Ale komisja z KC usunęła I sekretarza, a Martowi zwróciła legitymację. Miał rację chłopak. Gdy poznał pewną młodą dziewczynę – postanowił się ożenić. Dziewczyna pochodziła gdzieś zza Buga, jej matka była u kogoś na służbie. Powiedzieli mu starsi towarzysze: ani się waż żenić, gówniarzu. Wiesz kto to jest ta dziewucha? Może podstawiona przez wroga klasowego? I wówczas Mart wybrnął. Powiedział: niech UB zbada jej pochodzenie. Zbadali, wypadło dobrze. Wziął sobie żonę i posag: ziemię w doniczce, rósł w niej na dodatek jakiś filodendron. Tak zaczynał.

To był już 1956 rok, wiosna, kiedy wyjechał z Warszawy na prowincję. „Kliki opanowały miasteczka. Musicie towarzysze rozbić kliki!" – powiedziano im na odprawie. Józek Mart został wiceprzewodniczącym Prezydium MRN w Chełmie Lubelskim. Dogadał się od razu z pierwszym sekretarzem KP, Świdlakiem. To był mądry gość, pisali o nim nawet szeroko w gazetach – bo zniósł palenie papierosów na naradach, wymagał od pracowników aparatu partyjnego, aby byli zawsze ogoleni i chodzili w czystej koszuli. Kazał kupować szczoteczki do zębów i sam chodził w pilśniowym kapeluszu. On pierwszy wprowadził tutaj kulturę życia codziennego i cywilizację na teren działalności społecznej. Zniósł ów błędnie pojęty fason wyszarzałej marynarki i brudnego pomiętego kołnierzyka. „To nie jest cecha działacza partyjnego, to nie jest cecha człowieka naszej epoki! Tamte, trudne czasy już się skończyły. To są przeżytki. Do diabła z tym zaniedbaniem!" Wielu krzywiło się na te nowe porządki. Ale to były tylko sprawy zewnętrzne. Świdlak chciał zrobić wreszcie w Chełmie porządek i ład. Mart był mu potrzebny, zwłaszcza, że wybrał sobie to miasto po owym artykule, traktującym o dziwnym sekretarzu KP.

Zainicjował Mart akcję ścieśniania monstrualnie rozrośniętych biur i zwalniania pomieszczeń biurowych. Na mieszkania. Sytuacja była więcej niż katastrofalna. Chodził i oglądał te chełmskie domy, biedne i żałosne, chyłące się ku ruinie, posadowione na tych fatalnych podziemiach, które właśnie zaczęły się obsuwać. I pewnego razu zdał sobie sprawę, że owa niebieska kamienica stojąca na rogu w dość poczesnym punkcie miasta, a będąca własnością niejakiego pana Filipowicza została odremontowana i to z pieniędzy państwowych. Niebieska farba na elewacji została położona przez miejskich robotników, na remont klatki schodowej poszło miejskie drzewo. Mart się wściekł i poleciał do Prezydium. Grzmiał na posiedzeniu: więc jak to jest, nie ma pieniędzy na remont miejskich kamienic, a jest na prywatne? Wszyscy tłumaczyli mu zgodnie, że to było w reprezentacyjnym punkcie miasta (?) więc się zgodzili dać pieniądze. Zgodni byli między sobą: wiadomo, dzielili miejskie place i przydzielali znajomkom, sprzedawali za psi grosz domki, które stanowiły mienie opuszczone. Za takiem Marta poszedł dziennikarz z lubelskiej gazety, Porębski: wyrżnął artykuł o klice w chełmskim Prezydium. Nie było rady, pięciu ludzi z Prezydium musieli odwołać, z remontu niebieskiej kamienicy zrobił się skandal na całe województwo. Zaczęto porządkować sprawy, aby uspokoić wzburzonych chełmian, którzy twierdzili już głośno, że rządzi „mafia".

Ale przyszedł październik 1956 roku. Na sesji odśpiewano „Boże coś Polskę" i wywalono Marta, jako rozrabiacza. Wiadomo – skrzywdził porządnych ludzi, narobił gwałtu

Dalszy ciąg na str. 5

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

CENA STARTU

Moje rozmówczynie należą do dwudziestoparoosobowej grupy tych, które w ubiegłym roku zdały egzamin wstępny na pierwszy rok studiów na wydziale lekarskim Akademii Medycznej, ale z braku miejsca nie zostały przyjęte. W takim wypadku na innych wyższych uczelniach nie pozostaje nic innego, jak w roku następnym ubiegać się ponownie o przyjęcie, a więc znowu stawać do egzaminu. Na AM natomiast od 3 lat praktykuje się coś innego – kandydatom na studia, którzy znajdą się w tego rodzaju sytuacji, gwarantuje się przyjęcie za rok bez egzaminu wstępnego, o ile odbędą 10-miesięczny staż w placówkach służby zdrowia i uzyskają tam pozytywną opinię o swojej pracy. Jeszcze jednym warunkiem są zdane w ciągu owego roku po dwa kolokwia z biologii, fizyki i chemii z zakresu szkoły średniej.

– Początek nie był różowy – mówi Alina – bo w AM powiedziano nam, że w sprawie skierowań do pracy należy zwrócić się do Wydziału Zdrowia. Niestety, skierowań tych nikt z nas nie uzyskał, ze względu na kompresję etatów. Szukałyśmy więc wolnych miejsc każda na własną rękę. Zgłosiłam się najpierw do dyrekcji szpitala przy ul. Spornej i czekałam cały miesiąc na zwolnienie się miejsca. Na próżno. Tymczasem czas uciekał. Przypadkowo dowiedziałam się, że u Korczaka odeszła jedna z salowych i jest miejsce. Gdyby nie ten przypadek – musiałabym zrezygnować ze stażu, a więc i z przyjęcia na studia. Znam kilka osób, które wobec tak beznadziejnej sytuacji podjęły pracę jako wolontariusze, bez wynagrodzenia. Niektórzy odbywali na tej zasadzie staż nawet przez trzy miesiące. Potem mieli trudności z uznaniem tego okresu przez uczelnię, bo pracowali „nielegalnie", bez wynagrodzenia, a u nas przecież nie ma pracy, jeśli nie ma płacy.

– A więc staż – to praca na etacie salowej. Jakie panie miały w związku z tym obowiązki?

– Chodziło o to, żebyśmy miały kontakt z chorym, żebyśmy nabrały umiejętności obcowania z chorym, opiekowania się nim – kontynuuje Alina. – Ja pracowałam w tzw. „małym szpitalu" im. Korczaka przy ulicy Nowej, a więc w szpitalu dziecięcym. Należało do mnie każdego ranka mycie podłóg, pastowanie i froterowanie ręczną froterką, mycie parapetów i szaf, przewijanie dzieci i układanie łóżek...

– Odbywałam staż u Pirogowa – mówi Jadwiga. – Szczególnie dużej wprawy trzeba było nabyć w obcowaniu z obłożnie chorym. Odpowiednio ułożyć mu pościel, umieć go poruszyć, gdy nogi na wyciągu, czy złamany kręgosłup, wiedzieć, że przy złamaniu miednicy trzeba chorego układać na deskach. Podać mu basen, a potem ten basen umyć. Na początku trudno się było do tego wszystkiego przyzwyczaić, trudno było pogodzić się z tym, że to też należy do moich obowiązków. Potem jakoś się przyzwyczaiłam, nabrałam zręczności i nic już w końcu nie było straszne.

– U mnie, w szpitalu im. Barlickiego – mówi następna stażystka, Irena – o 8 czy 9 rano zaczynały się zabiegi. Było ich przeważnie pięć do siedmiu. Najgorsze – to golenie chorego do operacji, czynność bardzo nieprzyjemna, zwłaszcza podczas zabiegów urologicznych. Starałam się uniknąć tego za wszelką cenę, ale nie zawsze się udawało. Musiałam się w rezultacie i z tym pogodzić.

– Czy sądzą panie – pytam – że tego rodzaju wprawa w obcowaniu z chorym, przezwyciężenie oporów wewnętrznych przy wykonywaniu czynności – powiedzmy – nieprzyjemnych, czy wszystko to potrzebne jest przyszłemu lekarzowi?

– To przecież droga do zrozumienia człowieka ciężko chorego, w ten sposób uczymy się, jak zdobywać jego zaufanie, a takie zaufanie wzajemne jest konieczne w

Dalszy ciąg na str. 4

W świecie

Krótka informacja prasowa o zapowiedzianej wizycie premiera Chruszczowa w Niemieckiej Republice Federalnej stała się w świecie politycznym sensacją nr 1. Spekulacje komentatorów zachodnich mnożą się podobnie jak grzyby po deszczu. Przedmiotem ich jest zarówno termin, dotąd niesprecyzowany, jak i skutki ekonomiczne i polityczne. Skala ocen jest bardzo szeroka — od rozsądnych głosów, akcentujących, że wizyta ta mieści się w ramach pokojowego współistnienia — do ostrej krytyki kanclerza Erharda za jego plany spotkania się z premierem Chruszczowem. W tej krytyce przoduje monachijski tygodnik „Bayern — Kurier" — organ prasowy CDU, który obawia się, że nie tylko Związek Radziecki, ale również **„sojusznicy zachodni zechcą wykorzystać tę bońską wizytę dla swoich własnych celów".**

Tymczasem w zapowiedzi tej nie ma niczego szczególnego. Jest to po prostu element od dawna już przecież aktywnie prowadzony przez Związek Radziecki polityki rozmów. Podkreślił to mocno wschodnioniemiecki dziennik „Berliner Zeitung" pisząc: **„Nasza republika odnosi się pozytywnie do zapowiedzianego spotkania... ponieważ pokojowe współistnienie jest alfą i omegą naszej polityki zagranicznej."** Dodajmy — polityki nieomal całego obozu socjalistycznego.

Niemcy zachodnie — nie trzeba tego szerzej uzasadniać — są obecnie jednym z głównych punktów zapalnych. Ich militarne przygotowania i chęć odwetu, głoszona przez wiele różnego rodzaju ziomkostw — budzą uzasadniony niepokój opinii publicznej świata. Nie miejsce tu, by przypominać szczegółowo dlaczego tak się stało. W zimnowojennym froncie, jaki imperializm stworzył wobec ZSRR w minionych latach, Niemieckiej Republice Federalnej wyznaczono szczególną rolę. Grunt po temu był nader podatny. Niewiele przecież zrobiono w zachodniej części Niemiec by wytrzebić pozostałości Trzeciej Rzeszy... Więcej nawet — we wszystkie te nie wygaszone ogniska faszyzmu starannie dmuchano.

I tak oto wykształciły się dwa biegunowo różne państwa. Podział Niemiec stał się faktem. A z faktów trzeba wyprowadzać prawidłowe wnioski.

Nie przymykamy więc oczu na współczesną mapę polityczną Europy. Realizm, leżący u podstaw polityki obozu socjalistycznego, dyktuje nam propozycje rozwiązań problemu niemieckiego, fakt ten ściśle uwzględniające. Znalazło to wyraz i w propozycji zawarcia traktatu pokojowego z obu państwami niemieckimi, i chociażby w tym, że ZSRR od dawna już utrzymuje stosunki dyplomatyczne z NRF.

Dlaczegóż by więc na drodze poszukiwań pokojowych rozstrzygnięć nabrzmiałych problemów międzynarodowych rezygnować z osobistych kontaktów również z przywódcami NRF? Z poznania ich aktualnych poglądów i sonażu możliwości znalezienia punktu zaczepu?

W skomplikowanej sytuacji międzynarodowej trudno o rychłe rozwiązania całościowe. Istota obecnej polityki musi często sprowadzać się do tego, by nie rozwiązany dotychczas problem dzielić na drobne, potencjalnie rozstrzygalne, unikając w ten sposób niemożliwych jeszcze dziś do przebycia raf. Osobiste kontakty — co zresztą potwierdziła już praktyka — mogą temu torować drogę.

Nie znamy terminu, ani tym bardziej tematu rozmów, które toczyć się będą w Bonn. Można jednak przypuszczać, że będą tam omawiane zarówno problemy polityczne, jak i ekonomiczne.

Z jakim efektem? Na to pytanie nie można zaryzykować odpowiedzi. Będzie to zależeć od tego, czy strona zachodnioniemiecka wykaże realistyczny rozsądek. Komentatorzy zachodni oczekują jednak przede wszystkim rezultatów na polu gospodarczym.

Zapowiedź wizyty prem. Chruszczowa w Bonn — jak powiedziałem na wstępie — wywołała różnorodne reakcje prasy światowej. Wśród licznych opinii, wypowiadanych na ten temat, nie brak i wielu rozsądnych uwag. I tak np. szeroko rozważana jest możliwość polepszenia stosunków NRD—NRF. Korespondent wiedeński „Arbeiter Zeitung" pisze na ten temat:

„Praktyczna regulacja stosunków NRF z Niemcami wschodnimi będzie z biegiem czasu nieodzowna i jeśli znaleziono by formę wzajemnego współistnienia między obu częściami Niemiec byłoby to z korzyścią dla wszystkich..."

Temat bilateralnych stosunków państw niemieckich podejmują inne dzienniki. Przez wiele artykułów przewija się ostrożny optymizm.

* * *

Podczas gdy prasa europejska pochłonięta jest rozważaniami na temat spotkania Chruszczow—Erhard, w Stanach Zjednoczonych rozwija się kampania wyborcza. Co aktualnie ją znamionuje? Pewne wycofywanie się Goldwatera z zajmowanego uprzednio stanowiska. Dotyczy to zwłaszcza pewnych aspektów polityki międzynarodowej. Sprawia to z pewnością wnikliwsze rozpoznanie sytuacji wyborczej.

Właśnie przed kilku dniami Instytut Badania Opinii Publicznej dr Gallupa opublikował rezultaty kolejnej ankiety. Wynika z niej, że 65 proc. zapytywanych odda swe głosy na Johnsona, 29 proc. — na Goldwatera, a 6 proc. nie powzięło jeszcze decyzji. Zdaniem dzienników amerykańskich najbardziej znamienne jest to, że w grupie obywateli od lat 21 do 29 Johnson ma ponad 73 proc. zwolenników. „Młodzież nie jest goldwaterowska" — konstatują publicyści.

Poczekamy — zobaczymy...

W. SŁAWSKI

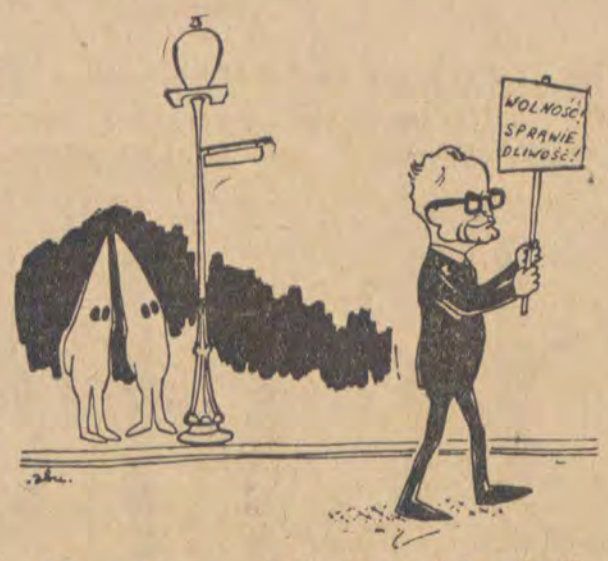

— Jak myślisz, czy ktoś da się na to nabrać?

(Z prasy amerykańskiej)

SPRAWA LUDZKICH SUMIEŃ

Katarzyna Genovese lat 28. Szczegóły jej tragicznej śmierci znają dobrze najbliżsi sąsiedzi. W nocy 13 marca 1964 roku 38 osób słyszało jak wołała o ratunek. Ale nikt nie pośpieszył z pomocą. Historia Katarzyny Genovese nie jest skomplikowana — przeciwnie jest niesłychanie prosta. Mogła wydarzyć się wszędzie, w każdej szerokości geograficznej.

New York Times w numerze z 14 marca zamieszcza krótką notatkę: „Kobieta z Queens zasztyletowana na progu własnego mieszkania. Policja poszukuje mordercy". Queens jedno z przedmieść N. Yorku, dzielnica spokojna, której zacisze wille otacza zieleń sykomorów i srebrnych świerków. 1.800.000 mieszkańców to ludzie średnio zamożni, których nazwiska nie należą do żadnych znanych osobistości. 38 osób było świadkami zbrodni dokonanej na Katarzynie Genovese. Dramat jej śmierci tkwi w tym, że przez pół godziny, w której decydowały się losy dziewczyny, przez długie pół godziny, w której walczyła o życie i wzywała pomocy, nie było nikogo, kto by zawezwał policję, kto przyszedłby z pomocą. 38 osób przyglądało się zbrodni, 38 świadków milczało.

Milczenie utrudniało policji prowadzenie śledztwa. Dziennikarz Marty Gansberg z New York Times w numerze z 27 marca pisze: Dwudziestoośmioletnia Katarzyna Genovese, zwana popularnie Kitty, po pracy w barze Hollis wracała do domu. Zgodnie ze zwyczajem panującym w tej dzielnicy zaparkowała swego Fiata na placyku blisko domu, zgasiła światła i zatrzasnąwszy drzwiczki wozu szybkim krokiem udała się w kierunku mieszkania na Austin Street 81. W nocy spokojna dzielnica jest pogrążona we śnie i mroku. Katarzyna zauważyła widać kogoś w cieniu budynku, bo nagle zawróciła w kierunku placu Leffers, gdzie znajduje się budka z telefonem. Zaledwie parę kroków dzieliło ją od telefonu, gdy otrzymała pierwszy cios sztyletu w plecy. Zaczęła krzyczeć. W oknach zabłysły światła. Niektóre okna otworzyły się i słychać było głosy mieszkańców. Katarzyna wołała — Boże mój! Ratunku. — Z okna dał się słyszeć głos. — Zostaw ją, puść! — Morderca podniósł głowę, wzruszył ramionami i znów zaatakował dziewczynę. Broniła się. Zaczęła biec. Mężczyzna dopadł ją, gdy była blisko domu. — Umieram! Ginę! Ratunku! — Znów w oknach pojawiły się światła. Tym razem morderca odskoczył kryjąc się za samochodem. Właśnie przejeżdżał autobus. Była godzina 3,35. Morderca powraca raz jeszcze. Katarzyna oparta o drzwi budynku traci siły i pada. Wtedy dosięga ją ostatni cios sztyletu.

O godzinie 3,50 policja otrzymała pierwszy meldunek. Telefonował sąsiad Katarzyny. W dwie minuty później policjanci są na miejscu zbrodni. Mężczyzna oświadcza, że długo namyślał się zanim zatelefonował, nawet radził się przyjaciela.

— Nie chciałem mieć kłopotów — usprawiedliwia się.

W aktach policji zanotowano wiele podobnych wypowiedzi.

— Myślałam, że są to porachunki kochanków — oświadcza jedna z kobiet.

A para małżeńska, również świadkowie zajścia twierdzą: — Byliśmy przerażeni tym cośmy widzieli. Nie pozwoliłam mężowi mieszać się w te sprawy.

Inne małżeństwo słyszało rozpaczliwe wołania. — Staliśmy w oknie ale światło z naszego pokoju przeszkadzało, więc zgasiłam lampę, aby lepiej widzieć — wyjaśnia kobieta.

Ta „zmowa milczenia" zastanawia socjologów, psychologów, lekarzy. Budzi niepokój. Socjologowie mówią o jakimś fakcie irracjonalnym. Profesor Uniwersytetu zadaje sobie pytanie — społeczność ludzka, czy dżungla?... — Psychiatrzy nazywają to zjawiskiem typowym dla ludzi zamieszkujących miasta „odczłowieczone", obce uczuciom ludzkim. Takim miastem, jego zdaniem, jest N. York. Inaczej twierdzi dr R. Fox socjolog. — Te osoby były jakby rzucone na pastwę żywiołu, jak ludzie w zetknięciu z tajfunem. Byli sparaliżowani wrażeniem jakie wywarł na nich obraz widziany przez okno. Nie zdając sobie sprawy szukali schronienia we własnym wnętrzu, we własnym „ja". — Dr R. Banax obwinia telewizję. — Dzień po dniu — mówi — akumulują się w umysłach ludzi obrazy przemocy, gwałtu, mordu, oglądane na srebrnym ekranie. Wywołują one pewnego rodzaju sugestie hipnotyczne. Ci, którzy obserwowali śmierć Katarzyny Genovese, czynili zadość podświadomym skłonnościom sadystycznym. Byli jakby urzeczeni tym na co patrzyli.

Do redakcji dzienników napływały listy. Dominowało oburzenie. Wiele osób żądało ujawnienia nazwisk 38 świadków. Żądano publicznego sądu. Niektórzy wnosili o rewizję przepisów prawnych. Ale liczne były też wypowiedzi obwiniające policję. „Zawiadomić kogo? Policję?... Żartujecie chyba! Niedawno wzywałem policję słysząc nocą, wołania o ratunek. Obrzucono mnie przekleństwami, że ich budzę po nocy".

Ani listy, ani wywody naukowców nie dają wystarczającej odpowiedzi na pytanie: dlaczego nikt nie wezwał policji? — dlaczego nikt nie pośpieszył na ratunek?

M. Gansberg także nie znalazł wyjaśnienia. A przecież ludzie z Queens są tacy sami jak wszyscy inni ludzie. Sympatyczni, dobroduszni, spokojni jak starszy pan prowadzący pieska na spacer, jak matka towarzysząca córkom, jak śpieszący do pracy młodzieńcy, czy gospodynie czyniące zakupy.

Ci sami dobroduszni obywatele patrzyli jednak obojętnie jak morderca wbijał sztylet w ciało dziewczyny, słuchali jej rozpaczliwego wołania.

I dlatego sprawa Katarzyny Genovese musi budzić refleksje. A jej rozwiązanie wychodzi daleko poza Queens. To co się stało w Queens jest tylko cząstką prawdy o ludzkim sumieniu.

M. TYMOWSKA

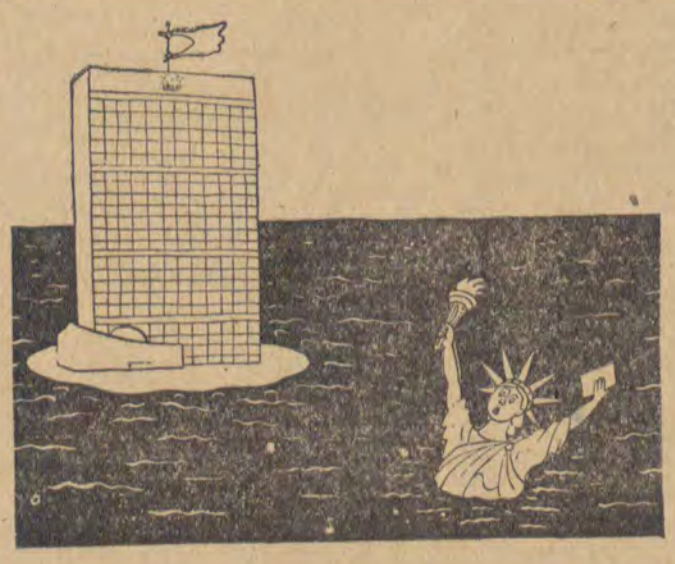

Angielski „Observer" tak przedstawia swoim czytelnikom sytuację Wolności w Ameryce.

XVII
OGÓLNOPOLSKI KONGRES ESPERANTYSTÓW
W ŁODZI • WRZESIEŃ 1964 ROK

En Lodzo okazos la 18-an, 19-an kaj 20-an de septembro XVII Tutpollanda Kongreso de Esperanto. Ni salutas elkore en nia urbo la delegitojn kaj partoprenantojn de la Kongreso dezirante al ili la fruktodonajn debatojn.

POLONICA

DRAMAT O MARACIE

Peter Brook wystawił w Londynie dramat Peter Weissa pod długim tytułem „Prześladowanie i zamordowanie Jean Paul Marata przedstawione przez grupę aktorów z przytułku w Charenton pod kierownictwem pana de Sade". Dramat ten stał się wydarzeniem i wywołał bardzo ożywioną dyskusję na łamach prasy londyńskiej. Otóż warto przy tej okazji podać do wiadomości, że autor dramatu, Peter Weiss, urodzony w miejscowości Nowawes (Nowa Wieś) pod Berlinem, jest pochodzenia polskiego (matka jego była Polka). Obecnie mieszka on w Szwecji i pisze w dwu językach: po szwedzku i po niemiecku. Jak się dowiadujemy, jego dramat o Maracie przełożony został również na język polski i będzie wystawiony w Warszawie.

SNY POD ŚNIEGIEM

Dziennik wiedeński „Volksstimme" (z 5 września br.) drukuje recenzję o książce Wiktora Woroszylskiego „Sny pod śniegiem", która ukazała się przed paroma miesiącami w Kindler-Verlag w Monachium w tłumaczeniu Josefa Hahna. Recenzent pisze między innymi: „Wiktor Woroszylski napisał o Szczedrynie powieść nowoczesną, zwięzłą, nie przeładowaną detalami, datami, tytułami, wolną od czytankowych anegdot. Historia nie służy tu za tło, lecz staje się artystycznym przeżyciem".

W HAMBURGU O LECU

W tygodniku hamburskim „Die Zeit" (z 4 września br.) ukazała się obszerna recenzja o tomie nowych myśli nieuczesanych (Neue unfrisierten Gedanken) Stan. Jerzego Leca pt. „Mistrz z czapką błazeńską". Z recenzji tej cytujemy następujący fragment: „Co ma on (Lec) do powiedzenia, wypowiada tak zwięźle jak to tylko możliwe. Jest wirtuozem precyzji. Dla niezwykłych myśli używa zwykłych słów — i z reguły tylko pięć, najwyżej dziesięć. Jeśli w przekładzie niemieckim wychodzi czasami więcej słów, to nie jest to winą Karla Dedeciusa, tłumacza wzorowego, lecz języka niemieckiego. Język polski, który jest znacznie bliższy łacinie niż niemiecki, zezwala na styl lapidarny, który w niemieckim nie zawsze da się naśladować".

KSIĄŻKI POLSKIE I O POLSCE

Mamy do odnotowania kilka pozycji polskich, wydanych w NRF. Wydawnictwo Günther Neske w Pfullingen opublikowało „Transatlantyk" Witolda Gombrowicza w przekładzie Waltera Tiela. R. Piper Verlag w Monachium wydał tom pt. „Polen — Malerei des 15. Jahrhunderts", poprzedzony przedsłowiem pióra Rene Huyghe i z wprowadzeniem Michała Walickiego. Tom zawiera 32 reprodukcje i kosztuje 76 marek. Ukazała się już, zapowiadana w poprzednich „Odgłosach", książka Stefana Kisielewskiego pt. „W tym miejscu Europy. Polak o Wschodzie i Zachodzie — i innych problemach dnia dzisiejszego". Książkę przełożyła Wanda Brońska-Pampuch.

Wreszcie odnotujmy, że w cyklu „Krytycy naszego czasu" ukazał się tom drugi pt. „Od Paryża do Warszawy. Metody i wyniki europejskiej krytyki literackiej," pod redakcją Hansa Mayera.

NAGRODY DLA TŁUMACZY

W Solurze (Szwajcaria) odbył się Tydzień Książki Polskiej. Z tej okazji przebywający stale w Szwajcarii polski finansista, Julian Godlewski, ufundował dwie nagrody (po 250 dolarów każda) dla najlepszych tłumaczy literatury polskiej na języki obce. W rezultacie nagrody otrzymali: Georges Sedir (Francja) i Josef Hahn (NRF) za najwybitniejsze osiągnięcia przekładowe. Obaj: Sedir i Hahn przełożyli szereg dzieł polskiej literatury krajowej m. in. utwory Bruno Schulza, Kazimierza Brandysa i Juliana Stryjkowskiego.

Po wysadzeniu pomnika Tadeusza Kościuszki

Na tropach łódzkiego Września (IV)

Zapada MROK...

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

GDY PAŃSTWO WALI SIĘ W GRUZY

Dla Polski pierwszych dni września 1939 r. powszechnym zjawiskiem był głód informacji. Radioodbiorniki działały od świtu do nocy, gazet ciągle było za mało. Informację urzędową uzupełniała najbardziej bzdurna plotka.

Wiadomość o wypowiedzeniu wojny przez Francję i Anglię zelektryzowała społeczeństwo łódzkie. 3 września na placu Wolności oraz przed konsulatami Wielkiej Brytanii i Francji, nie patrząc na niebezpieczeństwo nalotów, zgromadziły się tłumy manifestując na cześć sojuszników.

„Samoloty brytyjskie nad Berlinem", „Armie francuskie w marszu na Linię Zygfryda" — głosiły tytuły gazetowe. Lecz mimo to, niepokój w mieście wzrastał. Fala uciekinierów spod Kalisza, Radomska, Piotrkowa zapełniała ulice, opowiadając o mordach i grabieżach agresorów.

Wieczorem 4 września pojawiły się w Łodzi grupki żołnierzy z rozbitych taborów. Nie ukrywali oni swego przerażenia; wymieniali fantastyczne liczby zabitych i rannych i głosili pełną bezbronność wojsk wobec lawiny czołgów i samolotów.

W nocy z 4 na 5 września, zaczyna się ewakuacja niektórych urzędów. Rano 5 września, prasa i radio podały wiadomość o zajęciu przez Niemców Bydgoszczy i Grudziądza. To było jeszcze daleko od Łodzi, ale szybko rozprzestrzeniły się wieści o opuszczeniu Sieradza i walkach pod Piotrkowem. Władze cywilne w popłochu porzucały miasto.

Gorliwi — jak zwykle — urzędnicy skarbowi i bankowi wstrzymali wszelkie wypłaty, tłumacząc się, jakoby pieniądze zostały już wywiezione. Naprawdę dopiero w nocy z 5 na 6 września ewakuowano walory w banknotach, bilonie i papierach wartościowych.

Gorączka ewakuacyjna ogarnęła także znaczną część ludności cywilnej. Zwłaszcza młodzież piechotą i na rowerach ciągnęła szosą warszawską. Większość uchodźców po paru dniach powróci, przywożąc gorzkie doświadczenia z terrorystycznych nalotów Luftwaffe.

Żadne statystyki nie podają niestety nawet przybliżonej liczby tych, którzy w rowach przydrożnych i na polach przylegających do szosy brzezińskiej znaleźli ostatnią przystań życiową.

KOMITET OBYWATELSKI DZIAŁA

Władze sanacyjne opuściły Łódź nie troszcząc się o dalsze losy ludności. Ewakuacja straży ogniowej, karetek pogotowia, składnic sanitarnych stanowi dowód, że sprawy mieszkańców miasta nie interesowały buńczucznych dotąd dygnitarzy.

W trakcie „gorączki ewakuacyjnej" profesor Zygmunt Lorentz, nauczyciel historii, powszechnie szanowany i ceniony działacz społeczny, wysunął projekt powołania Komitetu Obywatelskiego jako instytucji, która dobrowolnie przejmie troskę o losy miasta i mieszkańców. Chodziło także, o to, by uprzedzić akcję łódzkich hitlerowców, którzy zamierzali wyłonić własne władze.

6 września odbyło się zebranie organizacyjne, przewodniczącym Komitetu został biskup, dr Kazimierz Tomczak, a stanowiska sekretarzy objęli: Włodzimierz Graliński, fabrykant Otto John i Zygmunt Lorentz. Utworzono pięć sekcji (aprowizacji, oświaty, opieki społecznej, zdrowia, zagadnień prawnych) oraz powołano Milicję Obywatelską dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa w mieście.

Odezwy Komitetu rozlepione na murach 6 i 7 września informowały ludność o istnieniu nowej władzy, której autorytet bez sprzeciwu uznało społeczeństwo łódzkie.

Tymczasem 28 dywizja piechoty toczyła jeszcze zacięte walki na przedpolach Łodzi. W bojach pod Chechłem 72 pułk piechoty poniósł duże straty, zaś 15 pułk piechoty w rejonie Pabianic zatrzymał posuwanie się oddziału zmotoryzowanego, ale własne straty były znacznie większe od strat wroga rozporządzającego dużą przewagą ogniową.

7 września ocalałe oddziały z armii „Łódź" przechodziły przez miasto. Pobierano żywność ze składów, uzupełniano umundurowanie. Dochodziło do wzruszających scen pożegnania. Mieszkańcy tworzyli szpalery obdarowując żołnierzy czym kto mógł. Serdeczny stosunek ludności podniósł żołnierzy na duchu. Grupki robotników żegnały wojsko śpiewając „Rotę" i „Czerwony Sztandar".

8 września Niemcy oskrzydlili Łódź z trzech stron, lecz obawiali się walk ulicznych. Zmotoryzowane patrole penetrowały południowe i południowo-zachodnie wyloty miasta. Po południu Komitet Obywatelski wysłał swoich przedstawicieli do dowódcy 17 dywizji niemieckiej, powiadamiając, że miasto jest bezbronne.

Następnego dnia rano na czele pułku piechoty i artylerii wkroczył do Łodzi gen. Weichs. Wojsko posuwało się pustymi ulicami. Tylko w kilku punktach (głównie na Piotrkowskiej) zgromadzili się miejscowi Niemcy wrzeszcząc „Heil Hitler!". Niektórzy kupcy niemieccy urządzili stoiska obdarowując „zwycięzców" papierosami i słodyczami.

Wojna trwała, a od strony armii „Poznań" mogło nastąpić uderzenie. Dlatego gen. Weichs ograniczył się do ustanowienia komendantury, obsadzenia opuszczonych obiektów wojskowych, patrolowania ulic i rozklejenia przywiezionych ze sobą odezw.

Ponieważ odezwy zapowiadały, że „administracja publiczna pozostaje czynna", tolerowano istnienie Komitetu, który rozwinął intensywną działalność zwłaszcza w zakresie opieki społecznej i aprowizowania ludności.

ZIVILVERWALTUNG

W okresie ostatecznych przygotowań do agresji na Polskę przy dowództwie 8 armii (podobnie jak i przy innych armiach) utworzono Zarząd Cywilny (Zivilverwaltung beim Armee — Oberkommando 8). Zadaniem Zarządu było zorganizowanie tymczasowej administracji w zasięgu rozłożenia armii oraz zabezpieczenie wszelkiego rodzaju zdobyczy wojennej.

W ciągu pierwszych kilku dni po zajęciu Łodzi, Zarząd Cywilny ograniczył działalność do kontroli porządku i bezpieczeństwa w mieście. Przy pomocy miejscowych Niemców przystąpiono do ewidencjonowania zapasów zarówno surowca jak i gotowych wyrobów w większych fabrykach. Nieco później zostaną wyznaczeni przez szefa Zarządu komisarze dla kontroli przedsiębiorstw stanowiących bądź polską własność państwową, bądź też będących własnością obywateli polskich — Żydów.

Echa bitwy nad Bzurą na krótko ożywiły nadzieje mieszkańców na powrót polskiego wojska. Lecz już po kilku dniach ucisk okupanta zaczął wzmagać się. 14 września dokonano aresztowań tzw. „kierowniczych osobistości wśród Polaków". Aresztowano wówczas także i kilku członków Komitetu Obywatelskiego (np. ławnika z ramienia PPS E. Andrzejaka). Na skutek interwencji Komitetu część aresztowanych zwolniono. Również na skutek interwencji Komitetu władze wojskowe ukróciły tzw. „judenhece" urządzane przez wyrostków hitlerowskich, lecz nakazano zwolnić Żydów z szeregów Milicji Obywatelskiej.

Działalność Komitetu ułatwiał fakt zasiadania w jego gronie znacznej grupy Niemców, dotychczas lojalnie usposobionych do państwowości polskiej.

Ponieważ całkowicie ustał dowóz żywności na teren Łodzi, a mieszkańcom nie wolno było wydalać się poza obręb miasta, na skutek interwencji Komitetu Komendantura obwieszczeniem z 15 września, zezwoliła chłopom powiatu łódzkiego przywozić produkty pochodzenia wiejskiego. Również i mieszkańcy mogli udawać się po zakup żywności do okolic podmiejskich.

Walory płatnicze zostały wywiezione z Łodzi. Komitet nie miał więc pieniędzy na konieczne wydatki. Zmusiło to do wszczęcia starań o emitowanie tymczasowych bonów płatniczych. Komendantura zgodziła się na to posunięcie, ogłaszając, że „bony są pełnoprawnym środkiem płatniczym" i „przyjmowanie bonów po kursie niższym niż złote jest karalne".

Konieczność informowania ludności polskiej o wydarzeniach wojennych zmusiła Niemców do wyrażenia zgody na wydawanie „niemieckiej gazety w języku polskim". 22 września ukazał się pierwszy numer „Gazety Łódzkiej", której redaktorem był Michał Walter. Prawzór gadzinówek wiele rozpisywał się o „polskiej bezmyślności" i „kulturalnej misji Niemców na Wschodzie".

Obok „Gazety Łódzkiej" ukazywały się: dwujęzyczny „Dziennik Rozporządzeń Szefa Zarządu Cywilnego", zawierający wyłącznie materiały oficjalne oraz gazety niemieckie.

16 września Zarząd Cywilny polecił uruchomić zakłady przemysłowe. Po kilku dniach większość fabryk rozpoczęła już pracę. Zapasy surowców i węgla były znaczne. Niektóre fabryki mogły nawet „odstąpić" opał swoim pracownikom.

Dzięki ofiarnej postawie nauczycielstwa w szkołach rozpoczęto naukę. Dla szpitali wyżebrano w Komendanturze nieco lekarstw. Trudniej było zaspokoić nawet najbardziej palące potrzeby w zakresie opieki społecznej. Komitet zabezpieczył pewną ilość żywności i odzieży w sklepach i składach opuszczonych przez właścicieli, lecz była to przysłowiowa kropla w morzu.

Z chwilą powołania niemieckich władz miejskich rola Komitetu została ograniczona wyłącznie do wewnętrznego „życia ludności polskiej". Formalnie przetrwa Komitet do początków listopada, faktycznie jednak jego „władza" skończy się z chwilą likwidacji Zarządu Cywilnego, tzn. 26 października 1939 r. Żandarmerię wojskową zastąpi wówczas gestapo i policja nasłana z Rzeszy. Sporadyczne aresztowania przekształcą się w akcję masową i staną się elementem planowo realizowanej eksterminacji ludności żydowskiej i polskiej. Noc okupacyjna zawisła nad Łodzią na długi, ponad pięcioletni, okres panowania niemieckiego bezprawia i terroru.

ŁÓDZKIE XX-LECIE

HALA PRODUKCYJNA FABRYKI MASZYN JEDWABNICZYCH

MYŚL: Coraz bardziej unowocześniamy nasze zakłady produkcyjne. Coraz więcej buduje się jasnych przestronnych pomieszczeń produkcyjnych. Hala Łódzkiej Fabryki Maszyn Jedwabniczych jest jednym z wielu nowych obiektów, które przypominają raczej przestronne werandy niż dawne ciemne hale.

DANE: Budowę rozpoczęto w kwietniu 1959 roku — zakończono w grudniu 1961 roku. Kubatura obiektu wynosi ok. 50 tys. metrów sześciennych. Zaprojektowano tu jedyną w tej chwili w Łodzi tzw. ścianę kurtynową — ze szkła i prefabrykatów.

PROJEKTANT: Mgr inż. arch. Janusz Ziemba, konstruktor — mgr inż. Włodzimierz Domińczyk.

WYKONAWCA: Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 1.

KOSZT: 20 milionów złotych.

Rys. mgr inż. arch. Sławomir Arabski

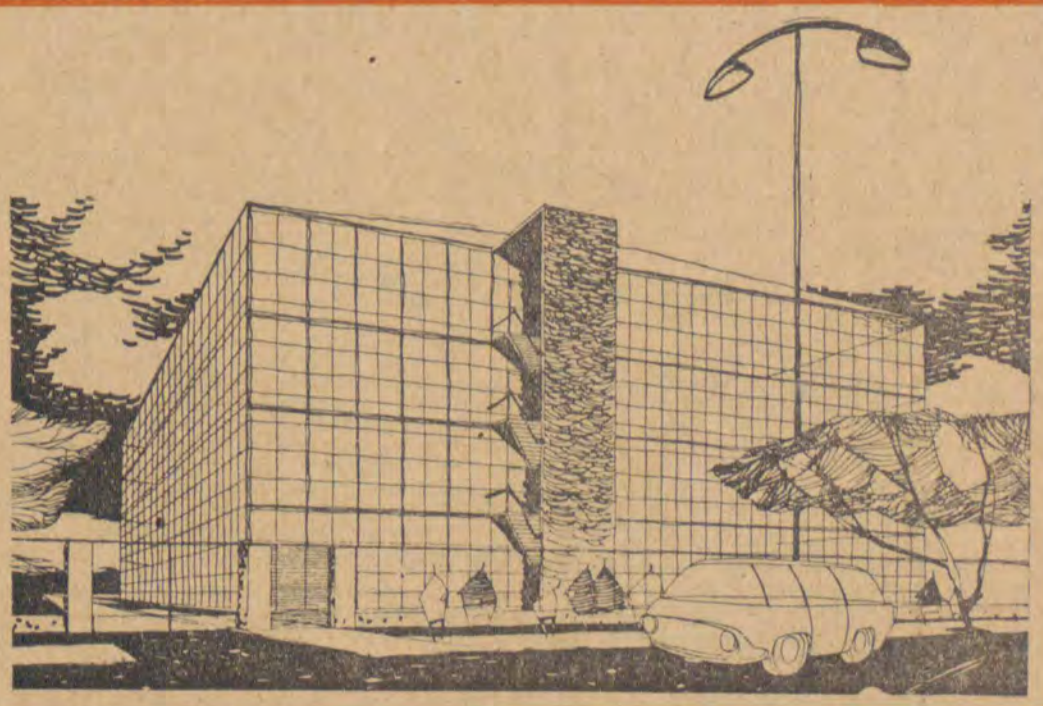

Przegląd PRASY

ŻYCIE LITERACKIE

■ **D.c. dyskusji o literaturze XX-lecia.** W bieżącym numerze „Życia" odpowiada Maciągowi, w niezwykle ostry sposób **Tadeusz Hołuj artykułem „Gdzie jest wieszcz?"** Hołuj atakuje Maciąga głównie za jego ocenę doświadczeń XX-lecia na linii stosunków pisarz-władza polityczna (co ma się rozumieć także m. in. jako antynomię pisarz-wydawnictwo). „Maciąg jest podejrzliwy w stosunku do pisarzy, obraźliwie, powiedzmy, podejrzliwy. Nie wierzy w czyste intencje. Dlaczegoż to nie przypuszczać, że pisarz komunistyczny może być czy jest w swoim sumieniu w zgodzie z ideologią i... praktyką ustrojową, że do ideologii komunistycznej mógł dojść własną drogą... a nie dlatego, że namówił go Berman czy Kliszko... że model jego twórczości wynikał z jego własnych przekonań a nie z takiego czy innego układu środków nacisku". „Nie zamierzam ani bronić – pisze Hołuj – ani tym bardziej gloryfikować okresu 1949–1955, walczę tylko z mitologizacją i pseudodemonizacją historii oraz ze sztuczną, fałszywą w zasadzie antynomią sumienie – wymagania władzy, pisarz-ustrój, które ustawicznie gnębią Maciąga i nie tylko jego". „To wszystko prawda – mówi jednak Hołuj – co (Maciąg) pisze o ogłupiających nieraz zabiegach (administracji) o roszczeniach, o całym tym magiu, tu jesteśmy wszyscy zgodni i wszyscy jednakowo zatroskani... tylko że nawet Maciąg nie wskaże nam tego wielkiego dzieła literackiego, które by siłą, tchórzostwem, nagrodą, karą, orderem czy ekskomuniką wepchnięte było w starożytne gadki lub zgoła w szuflady"(!).

■ Hołujowi i innym dyskutantom odpowiada **Włodzimierz Maciąg:** Wycofuje się tylko z postulatami literatury wyłącznie metaforycznej, ubranej w kostium historyczny ale pisze: „... próbowałem wskazać warunki, przy których spełnieniu można sobie wyobrazić rzetelny rozwój literatury, która by się nie musiała liczyć z etykietkami literatury autentycznej i suwerennej w swoim zakresie... Między mną a moimi przeciwnikami jest ta różnica, że ja sobie dobrze zdaję sprawę, że ta literatura nie jest możliwa w sposób bezwarunkowy... moi przeciwnicy wychodzą z założenia, że ja sobie te warunki wymyśliłem, że nic podobnego nie istnieje... swoje postulaty budowali bez prób odwoływania się do rzeczywiście przebytych doświadczeń... Obalać trzeba teorię nie przy pomocy cnót ewangelicznych, tylko przez argumenty oparte na empirii... Dwadzieścia lat to w końcu okres dostatecznie długi, aby nauczyć się patrzeć prawdzie w oczy i nie zadawać (jak to robi A. Lam) takich np. pytań: „Czy szefowie naszych oficyn wydawniczych rzeczywiście są takimi tyranami dla pisarzy, że zatracają zdolność ich rozumienia i kierują się jakąś oderwaną i szkodliwą dla literatury pseudoestetyką"? Jeżeli świadomość literacka nie rozwija się tak jak powinna – twierdzi Maciąg – nie wchłania i nie problematyzuje treści współczesnych, jeżeli brakuje jej inicjatywy (!), to naiwnością byłoby sądzić, że wynika to z braku talentów, z kaprysów albo z picia kawy. **Świadomość pisarza jest wytworem historycznego bytu, talenty zjawiają się i kwitną, kiedy padną na sprzyjającą glebę".**

Maciąg zamyka dyskusję, w której wszyscy dyskutujący z wyjątkiem Holuja i częściowo Lama zgodni są (z ogólną zresztą opinią) w ocenie tych okoliczności, które utrudniają rozwój współczesnej literatury, okoliczności nazwanych enigmatycznie „postulatem wydawniczym".

KULTURA

■ Odzewem na krakowską dyskusję, a także głosem przed zjazdem pisarzy w Lublinie jest artykuł wstępny red. nacz. Janusza Wilhelmiego. Czytając go chciałoby się radiowym sposobem Walderffa zawołać „Jesus Maryja!". Wilhelmi bowiem pisze: „Powieść, sztuka teatralna... rządzą się u nas bowiem prawami osobliwej chronologii. Ich akcja dzieje się albo współcześnie albo w okresie wojny. Nigdy pośrodku. Lata pięćdziesiąte znikają nawet w retrospekcji. Powstaje luka w ludzkich biografiach i biała plama na mapie wydarzeń... Przy takim założeniu nie zrodzi się nigdy wielka powieść... o dwudziestoleciu." I dalej: „Proszę sobie przypomnieć opowiadanie Sołżenicyna „... „Dla dobra sprawy". Taką pasję i prawdę... chciałbym często widywać u nas".

Chciałoby się zapytać red. Wilhelmiego, gdzie był przez tych dwadzieścia lat doświadczeń pisarzy, doświadczeń i zmagań z tzw. „postulatem wydawniczym", dla którego m. in. właśnie lata „pięćdziesiąte", z wyjątkiem krótkiego czasu, były i są „tabu" – o czym piszą tak marksistowscy nawet pisarze jak Maciąg, Matuszewski Wygodzki i in. na łamach bratniego pisma? I jak tu wobec tego przyjąć „życzenie" Kultury: „Mówienie prawdy jest nie tylko osobistą satysfakcją pisarza. Dobra propaganda musi uznać określoną specyfikę twórczości artystycznej" (ze St. Zielińskiego). Potrzebna jest ze strony polityki kulturalnej – mówi red. Wilhelmi – tolerancja, powściągliwość, zachęta, szerokość w pojmowaniu wewnętrznych potrzeb sztuki. Szerokość horyzontów w pojmowaniu jej odległych, pośrednich lecz doniosłych następstw społecznych – kończy autor artykułu."

Hej, lza się kręci!

OBSERWATOR

Fot. Z. Szarek

Dalszy ciąg ze str. 1

pracy lekarza – odpowiada Jadwiga. – Często trzeba pracować na prowincji, tam lekarz może się znaleźć z chorym sam na sam i wówczas konieczna jest nie tylko wiedza medyczna, ale także zręczność czysto fizyczna i w ogóle wszelka umiejętność od podstaw...

Alina:

– Nic, co jest związane z chorym, nie może być lekarzowi obce. Staż daje właśnie obeznanie z tymi wszystkimi czynnościami. Trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność, jeśli nasza służba ma być efektywna. Inna natomiast sprawa z takimi obowiązkami stażysty, jak szorowanie podłóg, mycie okien. To nam nic nie daje, na pewno nie podnosi naszych kwalifikacji. Zresztą trzeba stwierdzić, że praca była wyczerpująca...

– Przez 8 godzin z reguły nie było chwili czasu, żeby usiąść, cały czas na nogach – stwierdza Irena. – Do domu wracało się ze spuchniętymi nogami. Po takim dniu nocy było za mało, żeby wypocząć, a przecież po pracy nie można było rzucać się na łóżko. Czekały nas kolokwia.

– Uczyłyśmy się z reguły w domu, chociaż w szpitalu zdarzały się czasem całe godziny bezczynności – mówi Alina. – Na dyżurach, gdy zrobiłam już wszystko, co do mnie należało, trafiały się dwie – trzy godziny wolnego czasu. Ponieważ na dyżurze spać nie wolno, więc któregoś razu przyniosłam sobie książki do nauki, żeby ten czas jakoś wykorzystać, a jednocześnie nie usypiać. Naprawdę nie miałam wtedy co robić, a mimo to posypały się skargi, że uczę się na dyżurze i zaniedbuję swoje obowiązki. Oddziałowa udzieliła mi upomnienia i siłą rzeczy nauka na dyżurach skończyła się. Lekarze natomiast byli na ten zakaz oburzeni i wprost przeciwnie, wyrazili podziw, że po ciężkiej pracy stać mnie jeszcze na naukę.

– Lekarze byli bardzo przyjaźnie do mnie ustosunkowani – opowiada Jadwiga. – Gdy tylko miałam chwilę czasu, szłam dzięki ich uprzejmości na salę operacyjną. Ten element stażu – zupełnie nadobowiązkowy, wypływający z mojej dobrej woli i zainteresowania – dał mi rzeczywiście dużo, pozwolił poznać prawdziwą pracę lekarza. Zaznajomiłam się bardzo dokładnie z salą operacyjną, aparaturą tlenową, z podawaniem eteru i narkotyków, wiem, w którym momencie operacji należy wstrzyknąć taki czy inny środek, znam już dobrze narzędzia chirurgiczne. Z jeszcze innej umiejętności jestem dumna: najpierw pomagałam, a potem sama robiłam EKG. Umiem przeprowadzić całe EKG, oczywiście poza odczytaniem. Ta umiejętność daje mi ogromną satysfakcję, bo przecież wiem, że studenci mają z tym duże trudności – ja już ich nie będę mieć. Poznałam różne diagnozy, osłuchałam się z rozpoznaniami chorób po łacinie. Albo opukiwanie płuc i słuchowe odróżnianie odgłosu. Też mnie tego nauczono. To wszystko stanowi dla mnie ogromną wiedzę, zaznaczam jednak, że nabytą zupełnie nadobowiązkowo. Ta wiedza nie liczy się do stażu, a właśnie ona jest najcenniejsza.

Z kolei opowiada Alina:

– Początkowo lekarze i pielęgniarki odnosili się do mnie z rezerwą, obserwowali mój każdy ruch, ciekawi byli, jak zachowam się w poszczególnych sytuacjach. Salowe dawały mi co cięższe prace i też obserwowały. Kiedy stwierdziły, że nie mam oporów – powiedziałam sobie, że mi nie wolno – sytuacja uległa zmianie, salowe stały się bardziej koleżeńskie. To był sukces, bo od stosunku salowych do mnie zależało w dużej mierze moje samopoczucie. Potem już nie przyglądały się, ale uczyły, jak robić lepiej, sprawniej, szybciej. O ile na początku padały pod moim adresem uwagi, że jestem młoda, a więc i silna i powinnam robić to, co ciężkie fizycznie, to pod koniec stażu salowe gotowe już były mnie wyręczać, spieszyły z pomocą. Zaskoczyła mnie atmosfera szpitala – wszyscy byli bardzo kulturalni, sympatyczni. Przez pewien czas mało kto wiedział, że odbywam staż. Lekarze od razu zainteresowali się, dlaczego muszę pracować, pytali, czy skłoniły mnie do

CENA STARTU

tego złe warunki materialne, radzili, żebym rzuciła pracę i poszła się uczyć. Byli zaskoczeni, gdy dowiadywali się, że po prostu odbywam staż.

– Początkowo – kontynuuje Alina – nie chodziłam na obchody, bo nie wiedziałam, jak ustosunkują się do tego lekarze. Pozwolili mi jednak i dzięki temu poznałam takie zabiegi, jak punkcja zatok, laryngoskopia, nacięcia nacieków ropnych na chirurgii, na okulistyce oglądanie dna oka czy konsultację neurologiczną. Wiem, jak podłącza się kroplówkę, nacina wrzody. Najpierw robiło mi się mdło i słabo, ale dziś, po 10 miesiącach, myślę, że już bez oporów sama mogłabym wykonywać najbardziej przykre zabiegi. To jest cenne. No i dzieci – podczas stażu bardzo polubiłam dzieci. Poznałam psychikę dziecka i potrafię chyba zdobyć jego zaufanie. Takie są owoce mojego stażu. Wszystko jednak co najwartościowsze wyniosłam z czynności, na które z największym trudem znajdowałam czas, bo zupełnie leżały poza obowiązkami salowej, a często z nimi kolidowały.

Izolda, oprócz obowiązków salowej, zdołała natomiast znaleźć czas na pracę w laboratorium.

– Uważam – mówi Izolda – że 10-miesięczny staż przed studiami powinien obejmować wszystkich wstępujących na AM. Dzieje się tak np. w USA i bodajże w Szwajcarii. My same zdołałyśmy już przecież zdobyć rozległą wiedzę praktyczną niejako na marginesie stażu, poza obowiązkami. Przystępujemy teraz do studiów z dużym bagażem doświadczeń i będzie nam niewątpliwie łatwiej uporać się z materiałem.

Bynajmniej nie wszyscy jednak znaleźli czas na zapoznanie się z frapującą pracą lekarza. Oto co mówi na ten temat Irena:

– Staż moich koleżanek, jak tu słyszę, wyglądał zupełnie inaczej niż mój, jeśli się weźmie pod uwagę, że miały możność przyglądać się zabiegom i dopuszczano je do niektórych czynności. U mnie, niestety sytuacja była inna.

– Szkoda, że AM nie przejawia zainteresowania przebiegiem stażu – mówi Alina – Sądzę, że na uczelni nie za bardzo orientują się, co robimy, a można by przecież ściślej sprecyzować nasze obowiązki, tak, żeby realizując zainteresowania pracą lekarza nie trzeba było jednocześnie zaniedbywać obowiązków. W końcu oficjalnie sprawa tak się ma, że ścierka, szczotka, woda z proszkiem i lizol – to symbole naszej pracy, że za przyjęcie na studia trzeba płacić ciężką pracą fizyczną. Bo to, co robiłyśmy ponadto, to przecież jakby nielegalnie. Czy żeby poznać to, co nas interesuje, musimy koniecznie czekać na przyzwalający gest lekarza, zamiast mieć do tego oficjalnie prawo, o ile wywiązałyśmy się z podstawowych obowiązków? Lekarze nie wiedzą, jak się do nas ustosunkować, objaśniać zabiegi czy nie, na czym ma staż polegać. Z drugiej strony podstawą stażu jest w zasadzie kontakt z chorym, a tymczasem często nie starcza na to czasu, bo trzeba sprzątać, a chorymi zajmują się inne salowe.

– Poza tym – zwraca uwagę Izolda – należałoby pomóc w znalezieniu pracy stażowej, a nie pozostawiać nas na łasce losu. Takie postawienie sprawy, jak w stosunku do nas, wywołuje tylko nieporozumienia i często możliwość odbycia stażu stawia pod znakiem zapytania.

Wiele kłopotów było z tym stażem, wiele wysiłku i samozaparcia kosztował on moje rozmówczynie. Są przecież jednak bardzo zadowolone, wiele wyniosły nowego, co niejednokrotnie podkreślały, umocniły się w przekonaniu o słuszności wyboru kierunku studiów. Jak natomiast ich pracę oceniły szpitale?

– Wczoraj rozmawiałam z personalnym – mówi Irena – i dowiedziałam się, że moja praca spotkała się z uznaniem. Powiedział, że przedtem u Barlickiego nie przyjmowano stażystów do pracy. Nie chcę się chwalić, ale personalny powiedział, że po doświadczeniach ze mną mają zamiar w tym roku przyjąć aż sześciu stażystów. Pożegnanie ze szpitalem było miłe, lekarze życzyli mi powodzenia na studiach i zapraszali do odwiedzenia szpitala po 3 roku studiów, gdy zaczynają się praktyki szpitalne. Zaofiarowali także pomoc, jeśli będę miała w przyszłości kłopoty z przerabianym materiałem.

Alina pokazuje najnowsze wydanie „Zarysu fizjologii człowieka" z piękną dedykacją podpisaną przez liczne grono lekarzy.

– Ten upominek dostałam podczas wzruszającej uroczystości pożegnalnej. W obecności wszystkich lekarzy ordynator złożył mi życzenia i dziękując za pracę powiedział, że czeka na mój powrót do „Korczaka" za sześć lat, gdy już i ja będę lekarką...

Rozmawiał: ZBIGNIEW KOWALEWSKI

Niebieska kamienica

Dalszy ciąg ze str. 1

o głupi remont kamienicy. Nie można przesadzać. Stalinowskich rozrabiaczy Chełm nie ścierpi. Kanciarze w chwale i glorii wrócili na piedestał, Mart wylądował na bruku.

Na zebranie ZBoWiD wezwano pracownika Urzędu Bezpieczeństwa z Lublina, Bolesława Rycerza. Nicowali cały ubiegły okres, mówili komu działa się krzywda, dlaczego, ale na Rycerza nie padło złe słowo. Pod koniec wystąpił jakiś chłopina i powiedział: „Przez Rycerza siedziałem niesłusznie. Byłem w AK, ale nie miałem nic wspólnego z tymi sprawami, które mi szef urzędu zarzucał". Po nim mówiło jeszcze trzech: że oskarżył niesłusznie, że poszli do więzienia za nic. Ale tym następnym zaczęto już przerywać. „Bzdury" — sarkano. Znali ich ciemne sprawki z okresu pierwszych lat. Wreszcie ktoś się poderwał i palnął: „Do diabła, nie mówcie, że byliście z nami. Nigdy nie byliście w AK, jesteście zwykłym bandziorem i tyle. Polityką się nie zasłaniajcie!" W wyborach do władz powiatowych ZBoWiD Rycerzowi zabrakło 2 głosów, byłby przeszedł, chociaż nie kandydował „z listy", tylko tak, ktoś rzucił kandydaturę z sali. Wyszedł z zebrania z poczuciem zwróconej na nowo godności. Nie zbrukał sobie rąk, chociaż nie raz namawiano go do tego. Nie dał się zwichnąć.

Andrzej Tomza był już wówczas inżynierem i pracował w cementowni „Rejowiec". Wrócił w swoje rodzinne strony po studiach, opromieniony sławą znakomitego strzelca i w glorii dopiero co zdobytego tytułu inżyniera-mechanika. Pod koniec 1955 roku zainstalowano go w warsztacie mechanicznym, po kilku miesiącach awansował na głównego mechanika. W Rejowcu pracowali jeszcze starzy fachowcy sprzed wojny, młodym inżynierkom nie pozwolili sobie w kaszę dmuchać. Jeszcze gdy był na warsztacie — wyskoczyła awaria. Pękła oś wielkiej koparki — długa cztery i pół metra. Sprawa nagląca — bez tej koparki cementownia nie mogła otrzymać potrzebnej ilości marglu do wyrobu cementu. Tomza kazał zaspawać i potem obtaczać. „Pilna sprawa, róbcie duchem!" — powiedział. Stary tokarz Sajkiewicz popatrzył na niebieskookiego blondasa i pomyślał „Ten ma jeszcze mleko pod nosem". I zabrał się niespiesznie do roboty. Tomza wpadł i widzi, że stary tokarz obtacza wał tak, żeby „Polska nie zginęła". Na 23 obroty.

— Dlaczego się nie spieszycie.

— Nie da się szybciej.

— No to ja Wam pokażę, jak trzeba skrawać.

Zakasał rękawy, poprawił materiał w uchwycie, bo Sajkiewicz nie najlepiej założył, zwiększył obroty do 153, miał posuw noża do półtora milimetra.

— Nie da się?

— Przepraszam pana inżyniera — wystękał Sajkiewicz. Nie wiedziałem.

Praktyka w chełmskiej odlewni się przydała. Ale już niedługo miał pokazać, że do czegoś potrzebne są studia. Znowu była awaria przy tych wściekłych koparkach. Wykruszyły się zęby czerpaka. Tomza kazał przyspawać całą przednią ścianę z zębami na nowo, czy tylko same zęby — dość, że główny inżynier, Ślązak z Goleszowa — ale bez dyplomu inżynierskiego i wiadomości teoretycznych — naskoczył.

— Dlaczego kazaliście tak spawać?

Tomza tłumaczył spokojnie zasady działania sił na łyżkę koparki podczas pracy i pokazał swoje obliczenia.

— Co wy mi tu o siłach będziecie pieprzyć... Trzeba...

— Nie po to studiowałem cztery lata, żeby zapominać podstawowe wiadomości w tym momencie, kiedy są najbardziej potrzebne.

Ślązak odszedł rozwścieklony. Czerpak, naprawiony według Tomzy, pracuje do dziś. Ale Tomza czerpaka na swoim stanowisku nie przetrzymał. Przyszedł październik 1956. Powiedzieli mu na zebraniu: patrzy w każdą dziurę, szuka do czego się przyczepić. Ślązak — ów główny inżynier — też byłby się dołożył, gdyby go sobie nie wypożyczyli także, ale za co innego. Za pospolite grubiaństwo. Tak więc konflikt między niedokształconym dostojnikiem cementowni, a młodym inżynierem został chwilowo zażegnany. Tomza przestał być głównym mechanikiem. Pomogli mu niektórzy, powiadając: byłby może i dobry, bo sumienny jest, zna się na robocie — ale wciąż tylko jeździ na zawody i strzela.

Tak więc w listopadzie roku 1956 Andrzej Tomza zdobył niższe stanowisko — oraz 5 kółek olimpijskich. Było wiadomo, następną Olimpiadę — w Rzymie — ma w kieszeni.

Tymczasem pierwszy czerwony krawat Zamościa biegał po Chełmie za pracą. Od czasu kiedy wśród okrzyków: „w teczce go przywieźli, nasłali, żeby uczciwych ludzi niszczył" — wyprowadzono go ze składu Prezydium — minęło pięć miesięcy. Cały dobytek — a to: radio marki „Pionier", zegarek „Pobieda", oraz dziecinny wózek został sprzedany. Na wiosnę nie było za co butów kupić. Napisał do Warszawy. Wskutek interwencji wezwano go do KW, do I sekretarza. Dostał 800 złotych zapomogi. Pracy nie było nigdzie — ani w MHD, ani w PSS, ani w żadnej spółdzielni. Potem dali jeszcze zapomogę z PSS i kazali sobie podpisać kwitek: że niby chodzi i wygłasza pogadanki o spółdzielczości uczniowskiej w szkołach. Dali 300 złotych. W kwietniu czytał gazetę i wykrzyknął do żony: „Jesteśmy uratowani!"

W gazecie była wiadomość o tym, że dla zwolnionych z administracji udziela się kredytu w wysokości... na zakładanie warsztatów rzemieślniczych, zakładów, sklepów etc. Mart zadecydował szybko: otwieram knajpę.

W ciągu jednego dnia Prezydium MRN przydzieliło mu lokal, znaleźli się żyranci, na drugi dzień była pożyczka w wysokości 20 tysięcy złotych. Interes wódczany otwarto pod szumną nazwą „Trójka", jako że Mart uwielbiał ruską piosenkę: „Ech, ta trojka, śnieg puszystyj..." Śnieg tajał, była wiosna, chlapa, ale cała egzekutywa i pół Prezydium na uroczyste otwarcie, połączone z oblewaniem lokalu, przybyło. Mart zdziwił się: nigdy nie myślałem, że mam tylu serdecznych przyjaciół. Tylko dlaczego nie mogli przez 5 miesięcy pracy mi znaleźć?!

W „Szpilkach" ukazał się właśnie piękny wierszyk, pasujący jak ulał do sytuacji:

Któż to prywatną knajpę otworzył na rynku
I drenuje kieszenie z uśmiechem na twarzy?
Kułak, niecny spekulant, eks-właściciel szynku?
Nie — to były sekretarz, bojowy towarzysz!

Tak więc pierwszy czerwony krawat Zamościa rozlewał zgrabnie tę „z czerwoną kartką" do kieliszków, tę, którą nazwano: partyjna. Kto pił, co wygadywał w tej knajpie — wiele by mówić. Miał Mart przyjaciół, uważanie, jakowaś aura serdeczności wszechogarniającej otoczyła właściciela „Trójki", kołysała do snu, troskliwość nie opuszczała ani na chwilę. Wszyscy kochali go jak brata, każdy bruderszaft z nim chciał pić — byle Józek postawił następną kolejkę za frajer. Ależ Józio się rozlajdaczył, kac i czkawka męczyły go całymi dniami. Rozpił się i szynkował. Ale swoich 25 tysięcy na miesiąc skromnie zarobił. Nic mu niby do szczęścia nie brakowało. Czasem po kilku głębszych coś mu w duszy zagrało i żalił się do przyjaciół: „przez Was, cholery, musiałem całą przeszłość przekreślić".

Ale przyszedł pewnego dnia list z Warszawy. Od pewnej wykładowczyni ze szkoły partyjnej. „Doszły mnie niedobre wieści — że prowadzicie restaurację i ostatnio rzadko bywacie trzeźwi. Rzućcie do diabła restaurację. Kończcie studia, wracajcie do partyjnej roboty..." Potem okazało się, że inspiratorką tego listu była żona, czyli pani Martowa, która na owo szynkowanie swego Józia już dłużej patrzeć nie mogła.

Józef Mart w ciągu jednego dnia zamknął knajpę na kłódkę, popłacił podatki i zaangażował się do pracy. Ba, teraz nie było już trudności. Dyrektor Chełmskich Zakładów Spożywczych przyjął go z otwartymi ramionami: „Jak to świetnie, już dawno chciałem mieć przy sobie człowieka z głową do interesu". Z początku zrobił go referentem inwestycji, potem awansował na kierownika nowej piekarni. Zarzucał Chełmwy. Od pewnej wykładowczyni ze szkoły partyjnej. „Doszły mnie niedobre wieści — że prowadzicie restaurację i ostatnio rzadko bywacie trzeźwi. Rzućcie do diabła restaurację. Kończcie studia, wracajcie do partyjnej roboty..." Potem okazało się, że inspiratorką tego listu była żona, czyli pani Martowa, która na owo szynkowanie swego Józia już dłużej patrzeć nie mogła.

Józef Mart w ciągu jednego dnia zamknął knajpę na kłódkę, popłacił podatki i zaangażował się do pracy. Ba, teraz nie było już trudności. Dyrektor Chełmskich Zakładów Spożywczych przyjął go z otwartymi ramionami: „Jak to świetnie, już dawno chciałem mieć przy sobie człowieka z głową do interesu". Z początku zrobił go referentem inwestycji, potem awansował na kierownika nowej piekarni. Zarzucał Chełm

Fot. Jerzy Lewczyński

chlebami i bułkami tak skutecznie, że posypały się na niego nagrody i sztandary przechodnie.

Dyrektorowi winien był dozgonną wdzięczność. Jednakże okazało się, że powiedzonko o głowie do interesu nie było żartem. Dyrektor proponował Martowi po prostu lewe kombinacje. Józio przypomniał sobie, że był pierwszym czerwonym krawatem Zamościa i krew w nim zagrała... Ale na razie nie powiedział nic. Przypomniał sobie: w tym mieście rozbiłem sobie głowę o niebieską kamienicę. Pracował więc uczciwie, dostał najwyższą nagrodę w województwie za prowadzenie piekarni, zaproponowali mu stanowisko wicedyrektora. Znowu zastępcą szefa, na niższym nieco szczeblu. Dyrektor poszedł za kratki. Mart udowodnił mu złodziejstwo i nieczyste interesy. „Co miałem do cholery zrobić, jak złapałem złodzieja? Kraść razem z nim? Ukrywać go? Mam taką kanciastą naturę?" — powiedział Mart i odszedł z Chełmskich Zakładów Spożywczych.

Wówczas na horyzoncie, daleko, w stronę Dorohuska patrząc — dymiły już kominy wielkiej cementowni.

JANUSZ ROSZKO

Fragment reportażu „Bez korony", za który red. Roszko otrzymał główną nagrodę na konkursie XX-lecia, ogłoszonym przez „KULTURĘ".

JERZY WILMAŃSKI

Ballada o pamiętnikach

Siwobrodzi pątnicy na rozstajach dróg
oglądają barwne mapy i szukają celu

przyczajony w rudych chmurach
stary dobry bóg
chciałby zagrać z nimi
w ciuciubabkę,

lecz pątnicy tak się spieszą
do dalekich miast
że nie widzą ani boga
ani gwiazd,

a pod nimi wypalony
blaskiem siedmiu nieb
zadumany rozmodlony
mazowiecki step

* * *

Kiedy wrócisz z herbatą mnie wiatry
uniosą
Suchy mróz dotknie szyby cisza zbieli
ściany

Więc się oddam wiatrom i wiatry opadną
Kiedy wrócisz z herbatą ten dom dotknie
cisza

Te ściany hermetyczne nieprzyjazne
wiatrom
Na blasze parapetu tylko mrozu skrzep.

Wrzesień

Były małe znużenia był być może pot
Dymiły kartofliska jak zawsze jesienią
Kiedy biegnie spocony bury źrebak upału

Może były i klęski powodzie i susze
Katastrofy lotnicze pod niebem
bezchmurnym
Albo śmierci wątpliwe popalonych książek

Wiem że były znużenia to w końcu
wystarcza
Znużenie zamknąć można w dłoni albo
urnie
Nie słyszeć więcej pisku przerażonych
ptaków.

JERZY WALEŃCZYK

Zagwiżdż w nierze- czywistych ciemnościach

1

Czy przypominasz sobie ten zabawny black-out z naszego teatrzyku? To się nazywało „Dziewczynka z zapałkami". Tak jak u Andersena. I motyw stamtąd zaczerpnięty. Tylko nieco zmieniłem, ot tak dla naszych potrzeb, żeby było współcześniej, żeby było bliżej nas.

Więc dziewczynka usiadła pod ścianą, skulona i zmarznięta, reflektor jest wygaszony, ciemności pożerają się wzajemnie, ani szczeliny światła, a to biedne maleństwo woła: „Zapałki, zapałki, zapałki". Zapala przy tym jedną po drugiej chrobocząc jak mysz w pudełku, nie mogąc ich odnaleźć, i płomień już ćwierka małą chwilę, światło pnie się do góry, strząsa z dziewczyny tajemnicę anonimu, grzebie w najbliższym otoczeniu, ale zaraz zmuszony jest się poddać, zamiera i przystaje parząc jej koniuszki palców. W tym czasie po scenie spacerują młodzi, dzielni chłopcy w charakterze przechodniów. Więc płomień prześwieca między nimi, a oni są jak ruchome chodzące drzewa. Dziewczynka ich interesuje. Naraz szurgot jednoczesny nogami i młodzi ludzie nachylają się nad zapałką płonącą i zapalają papierosy. Te papierosy sygnalizują swoją obecność dopiero wówczas, kiedy rozgorzeją ogniki. Jest ich kilka. Ci młodzi przechodnie poczęstowani ogniem, usatysfakcjonowani odwracają się od dziewczyny i ustawiają w rzędzie, plecami do biedaczki. Piją dym, tak że mało się nie zakrztuszą i w tych pożerających siebie ciemnościach świecą jak kocie oczy ogniki papierosów. Istny wiec kocich oczu. Wówczas na lekko odchylonym reflektorze dziewczynka prosi o zapałkę. Błaga, szamoce się u stóp przechodniów znieruchomiałych, i oni nieczuli, chłodni milczą.

Dziewczynka przystaje przy każdym z nich i dalej wędruje na kolanach do następnego, który ją strząsa z siebie brutalnie i stanowczo. Zostaje sama po wyczerpaniu tego szeregu dżentelmenów i pada na deski scenki zrozpaczona. Reflektor jest znowu stonowany. Zostaną same ogniki uszeregowane, w taki złocisty łańcuszek, milczenie.

Wtedy gwizd. Gniewny, ostateczny. Ogniki gasną bezpośrednio po gwiździe, tak jak gdyby były jego skutkiem, jego rezultatem, jego ofiarą.

Ale dziewczynka, o którą nie miał się kto zatroszczyć zostaje sama. Cała historia do gwizdu była jasna. Sam gwizd roztrząsaliśmy długo. Co to jest? Jedni mówili, przeznaczenie, inni, kara dla tych, którzy skrzywdzili dziewczynę. Nie wiadomo było czy gwizd oznaczał, że zginęli z ręki jakiejś siły fantastycznej, czy tylko zastygli na moment, czy gwizd miał oznaczać metafizyczny śmiech bez ust z tego wszystkiego, co się dzieje między chłopakiem a dziewczyną, między mężczyzną, a kobietą. Nie wiem.

Czy przypominasz sobie, że tę pantomimiczną rolę grała Tania?

Ciekawa dziewczyna, to znaczy miała ciekawą twarz i zgrabną figurkę. Gdyby tylko miała odrobinę talentu. Kto wie? Brunetka ze skośnymi lekko oczyma, milcząca prawie zawsze, skupiona, poruszająca się z gracją, z dystynkcją. A przecież tylko fryzjerka z damskiego zakładu, wiesz którego, tego obok księgarni.

Nie miała jeszcze siedemnastu lat. Nadawała się do tej roli, bo była ładna. Scenka pantomimiczna nie wymagała żadnych specjalnych walorów. Tania ich nie miała. Mogę Ci to powiedzieć wprost. Ale tę scenkę dobrze zagrała i to było najważniejsze. Dla niej również. Robiła to z pewnym przejęciem, dlatego wybór musiał paść na nią. Nie wiedziała wówczas, że gra swój mały los, że przewiduje go.

Tania pojawiła się w naszym teatrzyku amatorskim chyba zaraz u jego początków. Była zawsze taka świeża, ale milcząca, rzadko ożywiała się. Wiedziałem, że nie będzie z niej wielkiej pociechy. Czasem myślałem, że miała wszelkie warunki, aby w sprzyjających okolicznościach uchodzić za damę. Nie wiadomo skąd wzięła te dostojne ruchy. Mógł to być zarówno brak temperamentu, jak i nawyki zawodowe. Biały kitel fryzjerów i oszczędne manipulacje przy głowie klientek, skupiają wewnętrznie fryzjerów i nadają im rangę dostojeństwa. A może to tylko u nas fryzjer wygląda jak chirurg.

Powaga Tani mogła przecież wywodzić się z bardziej oczywistego źródła. Po prostu brak temperamentu. Nie mogłem nigdy tego odgadnąć, chociaż nie ostygłe nigdy oczy Tani mówiły o czymś innym. Twarz jak z reklamy kosmetyków. Spreparowana, nieruchoma, martwa.

Była to prowokująca i żenująca uroda. Zdaje się, że przyjmując ją ominęliśmy nasze wymagania, ponieważ Tania nie śpiewała i nie recytowała. Chciała nam pomóc, to było widoczne, ale nie wiedziała jak to zrobić, a my nie mogliśmy wyrzec się tej twarzy i widocznie coś w niej było, jeżeli nie było z tym przyjęciem kłopotów.

Tania była początkowo „obstawiona" przez Jurka. Takiego brunecika. Nie miał kciuka u prawej ręki. Przy powitaniu, kiedy ściskał dłoń, było nieswojo. Trzeba było pomanewrować palcami i wtedy było wszystko w porządku. Całowali się chyba po kątach i to raczej wszystko. Nie przypuszczam, żeby coś więcej, bo to zaraz widać. Tańczyli jak para młodych diablątek i to było ładne. Tania potrafiła zrobić ze swojej sukienki i halek piękną karuzelę, nieustającą i odważną.

Zawiązywały się naturalne sympatie, a Tania niby ciążyła do Jurka. Któregoś dnia zjawił się w brązowej marynarce samodziałowej, czarnych spodniach i czarnych bucikach, wydał się ciekawszy niż dotychczas i w ten sposób sympatia ta dookreśliła się chyba ostatecznie.

Zawiązywały się również sympatie nienaturalne, to znaczy chyba jednostronne, bez odwzajemnienia.

To była historia Edka. Edek prowadził całą budę. Edek miał stempelek i bilety do, pożal się Boże, kasy, Edek miał stosunki z tymi, którzy dawali lokal, i, proszę bardzo, miła młodzieży, rób teatr, a my popatrzymy, co z tego wyniknie. Edek nie był mumią faraona, robił co powinien i wydaje mi się, kiedy zobaczył Tanię, musiał nałożyć maskę. Nie wiem, którą z kolei, miał ich kilka, bo Edek był już taki i lubił te maski, a jeśli chodzi o Tanię, to musiał sobie dodatkowo zafundować. Znasz przecież Edka. Natura artystyczna, chociaż są tacy, którzy twierdzili, że tak nie jest. Ja jestem z tymi, którzy mówią „artystyczna". Bo jakże to? Na przykład siedzi sobie Edek w swoim biurze, pora drugiego śniadania, na maszynce gazowej grzeje sobie serdelki. Inny by zagrzał, zjadł i już. A Edek nie. Edek patrzy na bulgocącą wodę zamyślonym wzrokiem i nic nie widzi, ani maszynki, ani wody, ani serdelków. Jest sam. Woda kipi, rozżarzone druciki maszynki skwierczą, serdelki popękały, a on nic. Taki jest Edek. I nic nie wiadomo, czy mu smutno, czy nosi coś w sobie i ile tego jest, a zawsze przypuszczałem, że wiele i byłoby w czym wybierać.

Edek ma bogatą przeszłość. Strzelał w czasie wojny. Wcześnie zaczął. Nie miał młodości. Tak powiedział kiedyś do mnie. „Wiesz, my nie mieliśmy młodości". A Tania — pomyślałem — a Tania, jak to jest właściwie z Tanią? Ma młodość czy nie ma? Pytanie na pewno bezcelowe, przecież do Tani nikt nie strzelał, ani ona do nikogo. Tańczy nowoczesne tańce, gra w Dziewczynkę z zapałkami, rozumiesz, ona, niewinna, schwytana w dramat baśni Andersena, i Edek irracjonalny, trochę łysawy, jak wszyscy z tamtego pokolenia, bezlitośni dla przeszłości, abstrakcyjni wobec przyszłości.

Pokolenie do którego należała Tania jest inne. Oni są smutni lub weseli, schodzili lub wchodzili, tańczyli i odpoczywali. Dla nas wszystko znaczyło, co znaczyło i jeszcze coś oprócz tego.

Edek chciał zbawiać niebo i ziemię kiedyś. Ale to może nie najważniejsze. Edek myślał o Tani, niezłomnie, w masce. Początkowo Tania siadywała sobie w piątym rzędzie i przyglądała się naszym gimnastykom. Muszę Ci tutaj powiedzieć, że zanosiło się na to, że nie zostanie obsadzona. Edek mówił: „Niech zaczeka, nie ma się co spieszyć". Pewnie, że nie było się gdzie spieszyć.

2

Potem zaczęliśmy próbować tę „Dziewczynkę z zapałkami" i jakoś nam nie wychodziło. Było w tym wszystkim za mało dynamizmu, a już efektu z gwizdem chłopcy nie mogli chwycić. Ogniki gasły nierównomiernie, co psuło doszczętnie efekt. Gasły po kolei i zależności między skutkiem gwizdu, a gaśnięciem należało się tylko domyślać. Nie narzucała się wprost, i to było nie do przyjęcia. Próbowaliśmy gwizd zastąpić mefistofelicznym śmiechem, ale też nie wychodziło. Nikt nie umiał śmiać się diabolicznie, tak, aby to dawało wrażenie. Wszystkie tonacje śmiechu były zbyt pogodne. To znów początkowo błagania Tani śmieszyły chłopaków. Palce Tani łechtały ich po kolanach, udach, trzeba było trochę poćwiczyć, zanim towarzystwo przyzwyczaiło się i znieczuliło.

Przypuszczam, że najbardziej mefistofelicznie mógłby zarechotać Edek. Ale Edek w tym black-oucie nie grał, ani w żadnym innym black-oucie nie grał.

Pewnego dnia, po tych próbach wyszliśmy z teatrzyku całą grupą, zwracając uwagę przechodniów, rozmawiając głośno, ożywieni, korygujący raz jeszcze to, co nie zostało skorygowane.

Tania szła z nami. Jak zawsze szła jakby kierując się swoim wewnętrznym wzrokiem, albo tą swoją wieczną znieczulicą, wówczas ktoś zaproponował, abyśmy coś wypili. Był z nami Jakub ze swoją zmiennością, brakiem decyzji, przystający co chwila na chodniku, przed wystawami, odkrywający raz ciekawą plastycznie koszulę, jego zdaniem, to znów jakiś szczegół garderoby lub jakąś drobnostkę. Jakub lubił grzebać w drobnostkach, długo i zawile, nie odchodził od przedmiotów lub kwestii, nierozwiązanej według jego sposobu myślenia. Był przy tym uparty, nie dawał za wygraną, i błyskając czarnymi, krowimi oczyma, mówił, mówił, mówił. Jego gadanina była nieunikniona dla otoczenia. Jakub był trochę malarzem, takim zapoznanym. Był zdania, że nie realne wartości są istotne, ale autoreklama. Jakub, jak wiesz, nigdy prochu nie wymyślił i nie zanosiło się na to. Potrafił jednak przez całe godziny szarpać za rękaw słuchacza, z uporem i wolą tragiczną i wówczas trudno było zdecydować się na odejście. Jakub był smutny w swojej wesołości, pocieszny w swoim tragizmie. Czasem coś drapieżnego pokazywało się na jego twarzy. Wówczas Edek podnosił głowę, przekrzywiał ją nieco na bok, uszlywniał w uśmiechu wąski sznurek ust.

Jakub chwalił Tanię. Za jej oczy, za włosy, za usta, za czerwone spodnie, w których wyglądała interesująco. Jakub miał jedną bezsprzeczną zaletę. Miał mieszkanie. Był niby żonaty, ale to nigdy nie wiadomo, wiesz, z takimi ludźmi, co to nerwy mają spętane niby tylko sztuką, a potem się okazuje, że trzy żony unieszczęśliwił.

Pasją Jakuba było doradzanie innym. Tym razem Jakub doradził nam, żebyśmy poszli do niego. Zaopatrzyliśmy się po drodze w jakieś wina.

Muszę od razu powiedzieć, że te obrazy Jakuba rozpostarte na ścianach, rozłożone dokoła, stojące na krzesłach i szafie bibliotecznej zrobiły na Tani duże wrażenie.

Tania stała pośrodku pokoju i obejmowała swoim niepokojem te sprawy na obrazach. Nie mogła ochłonąć. Tak, jakby to były jej sprawy, jej myśli, a przecież nie mogły być i chyba nie były. Był to jakiś odruch u młodej dziewczyny od fryzjera, jakieś budzenie się serca dla niepokoju sztuki współczesnej, jeżeli pozwolisz, że tak powiem, chociaż to brzmi śmiesznie.

Tania była dziewczyną prostą, ale nie powinieneś tego źle zrozumieć. Tania zarabiała na życie fryzjerstwem i nie miała czasu ani okazji snobować się. A sztuka Jakuba była bądź co bądź współczesna, lub jeżeli wolisz, miała wszelkie cechy sztuki współczesnej. Słyszałem, jak jakiś chór śpiewał w Tani, jakby poczuła się naraz dojrzała i bezbronna, wzrok jej ślizgał się po obrazach, błyszcząc, jaśniejąc. Była cisza i oczekiwanie i wróżba. Tę wróżbę Edek zrozumiał. W Tani otworzyły się jakby nowe widnokręgi, ale to jest złudzenie, znasz je, te niespodzianki myśli i obrazów, w które nie możesz sięgnąć, wychodzące gdzieś z nieświadomości, i już zdaje ci się, że wiesz o co chodzi, układasz wargi do sformułowania ich nazwy, a one znikają, zostawiając wzmiankę o nowych światach, o nowych kontynentach, zostawiając niepokój, z którym dziewczyna musi natychmiast coś zrobić.

Te strzępy strzaskanego świata Jakuba i jego nauczycieli antydatowane i spóźnione jednocześnie, wydobyte z mroku planetarnego, ze złudzeń, ruchu anatomicznego pierwotniaków, z zamętu i poszukiwania ratunku — obezwładniły Tanię. Była teraz bezradnym i kwilącym dzieckiem w koszyku wiklinowym unoszonym przez rzekę, której nie rozumiała, ale przyjmowała jako dar, jako łaskę.

Takie spotkania ze sztuką nie powtarzają się. Nawet, jeżeli to są złudzenia, jeżeli się tylko wydaje, to, co zostało wywołane, zastyga wirując i można zakreślić jego kształt, jest rzeczywiste, aż dotykalne.

Bezradność i przemiana Tani miały postać jakiegoś zaćmienia. Zdawało się, że chwieje się i drży.

Była teraz dziewczyną unoszoną na rogach przez byka mitologicznego, porwaną Europą, kołysała się milcząc. A wówczas malarstwo Jakuba stawało jak tęcza i Jakub patrzał i rozumiał, że to pierwszy jego widz, w którym się ono spełniło. To był triumf malarstwa Jakuba wobec dziewczynki z zapałkami.

Edek to odczytał po swojemu i poprawnie. Podczas wieczoru dawał mi do zrozumienia, że jest pewien, że wie dobrze. Coś tam w Tani pękło, coś ruszyło. Edek był poważny, tą swoją wydłużoną powagą w masce.

Jakub cieszył się.

Pod koniec wieczoru, podczas którego Tania swoim zwyczajem milczała, udawałem, że nie widzę zachowania Edka: jak się przyczaił, sprężył do skoku, przechylając głowę w bok, spokojnie sącząc wino. Edek był zawsze gładko uczesany i trudno go było sobie inaczej wyobrazić niż gładko zaczesanego. Włosy jakby lekko zwilżone. Padające światło nocnej lampki odbijało się na jego czole stanowczym akcentem. Jakub kręcił się w kuchni czystej i trochę niezwykłej, pachnącej resztkami odgrzewanego rosołu, przygotowując coś. Edek powiedział do Tani: „Zostań, napiszę ci zaświadczenie, że zespół dzisiaj był poza miastem i wróciliśmy późno". „Nie potrzebuję tego" — powiedziała Tania. Było już późno i należało się żegnać.

3

Edek opowiedział to, co się stało później. „Jakub uśmiechał się widząc, że siedzimy blisko siebie. Był zmęczony i chciał iść spać. Przyniósł nam pościel tu do swojego gabinetu i powiedział dobranoc". Tania pościeliła tapczan spokojna, odwróciła się, rozebrała i wsunęła pod kołdrę. Była śliczna i smutna. Nic nie powiedziała. Nie spodziewałem się, że będę jej pierwszym mężczyzną. Ciągle przyglądała się obrazom Jakuba".

„Jak to, nic nie powiedziała" — pytałem później wielokrotnie. „Nie" — odpowiadał Edek. „Ale coś musiała powiedzieć" — nalegałem. „Nie" — powiedział Edek.

Wówczas stanęła mi przed oczami nasza scenka, kroczący po niej przechodnie i dziewczynka z zapałkami. Zapaliła pierwszą zapałkę, potem podchodziła do obojętnych, leżała u ich stóp, osamotnienie rzeźbiło jej twarz, a oni odwracali się od niej, wyrzucali z pamięci, z przyzwyczajenia. Usłyszałem sprężony gwizd.

Następnego dnia nie dała po sobie poznać, że cokolwiek się stało. Edka ledwo zauważała. Nie święciła triumfów na naszej scence, ale zaczęło dziać się coś innego. Fotograf z miejscowej gazety, starszy już pan, zrobił jej sporo zdjęć i jedno z nich ukazało się na okładce barwnego tygodnika stołecznego. Fotografowi i Tani towarzyszył teraz nieomal ciągle Zygfryd, młody dziennikarz z popularnej gazety. Pokazywali mi zdjęcia Tani. Potem fotograf bawił nas reprodukowanymi zdjęciami z historii obyczajów klasztorów żeńskich w średniowieczu. Zygfryd często jej towarzyszył i widywaliśmy ich z pół roku. Wiedziałem, że to drugi przechodzień Tani.

4

Była godzina południowa, czas krótkiego odpoczynku biurowców, chwili na herbatę wśród mechanizmów i papierów.

Ktoś ujął mnie pod rękę, ostrożnie, na ulicy. Był to młody adwokat, mój stary znajomy. — Czy znasz Zygfryda? — powiedział. — Wyobraź sobie, zgłosił się do mnie po poradę. Jakaś dziewczyna opowiada po mieście, że on jest ojcem jej dziecka. Zygfryd twierdzi, że nie miał w tym żadnego udziału. Słuchaj, ona zdaje się była kiedyś w twoim zespole. Co to za dziewczyna?

Okazało się, że Tania mówiła o Zygfrydzie, jako o ojcu dziecka dość szeroko. Młody dziennikarz był poważnie zaniepokojony.

Później dowiedziałem się jeszcze, że matka Tani była u Jurka, tego bezkciuka i usiłowała przypisać tego dzieciaka chłopakowi. Jurek był zdziwiony.

Ta akcja poszukiwania ojca po mieście wśród kolegów i znajomych Tani, byłych i aktualnych, prowadzona przez jej matkę, była dalszą częścią naszego black-outu o dziewczynce z zapałkami.

Przechodnie wzruszali ramiona, strząsali ją ze siebie, szli dalej. Zygfryd podobno obiecywał, że będzie ją skarżył za oszczerstwo, zwłaszcza, że jego nowej narzeczonej nie mogło się to podobać.

Nie sądź, że chcę w ten sposób powiedzieć o Tani coś złego, chcę powiedzieć, że takie dziewczęta nie powinny grać w teatrze amatorskim, takich ról. Dziewczętom, które nie mają talentu aktorskiego, a mają swój zawód, czy wybrały go już, nie należy podsuwać tego, czego nigdy nie zdołają osiągnąć. To wszystko, co mówi się o wyżyciu artystycznym, to bzdury.

Jakoż i ojciec się znalazł i zatroszczył się o dziecko Tani. Widziałem ich w teatrze, w palarni. Nawet przystojny chłopak. Nie wiem, skąd go wytrzasnęła, ale kiedy obserwowałem ich spod oka, widziałem, że Tania swoim zachowaniem starała się zwrócić na siebie uwagę, jakby dając znajomym do zrozumienia, że jest mężatką i wszystko jest w porządku. Znów zobaczyłem wtedy zakończenie naszego black-outu. W gwiździe gaszącym ogniki papierosów usłyszałem krótki rechot Edka. Ale Edek nie grał na scenie, a gwizd miał adresata poza sceną.

Okazało się, że ten gwizd nie ma wcale sensu metafizycznego. Może to nawet zbyt impertynencka i niesprawiedliwa zapłata dla porządnego chłopaka, na jakiego wyglądał mąż Tani.

LECH BUDRECKI

ZAWIŚĆ

Tak, nie chcę pisać o książkach pisarzy z N. Dlaczego? To proste, proszę pana. Ponieważ mieszkam w N. W tym samym mieście co i oni. Co prawda w innym domu, ale przecież widuję ich, widuję co dzień. Na ulicy, w tramwaju, w kawiarni. Cóż z tego? Nie wiele myśli pan? Aż nadto. Zapewniam pana, aż nadto. Bo ja... Jestem człowiekiem miękkim. Nigdy nie potrafiłem być twardy, ostry. Może przesadzam. Pewnie przesadzam. Każdemu przecież zdarzają się chwile niedorzecznej, bezlitosnej ostrości. Zdarzały się i mnie. Ale to było dawno temu, kiedyś. Nie teraz. Teraz zależy mi na przychylności. Nawet nie na przyjaźni. Nie mam wygórowanych żądań. Wystarczy mi przychylność. Łagodna, umiarkowana, w rozsądnych granicach. Po prostu przychylność. Choćby była tylko udawaniem. Pozorem, pozorem pozoru.

Jestem człowiekiem miękkim, słabym. Po cóż ten eufemizm? Skoro mamy mówić wszystko, do końca... Jestem człowiekiem tchórzliwym. Boję się. Boję się ich. Pisarzy z N. Gdybym nie spotykał ich, nie widywał, gdyby mieszkali w W., gdyby byli tylko imieniem i nazwiskiem na tytułowej karcie książki... A, wtedy, okazałbym śmiałość, surowość. Ale oni są cialem. Mają ręce, twarze, ruszają się, pocą. Boję się.

Nie wyobraża pan sobie, jak łatwo wielu z nich urazić. Zarzutami? Pretensjami, które zgłasza się do ich książek? Nie tylko. Nawet epitetem — w ich mniemaniu nie dość pochlebnym, choć jako pochlebny pomyślanym. Zdaniem, które miało być opisem, a w którym wietrzą naganę. Zamach ukartowany gdzieś na nich, tajemną intrygę, machinację sił ciemnych, zwróconych przeciw wszystkiemu, co światłe, piękne i dobre. Bo zwróconych przeciw nim. Przeciw ich książce. Odpowiedzą na to. Zareagują. Przestaną mi się kłaniać. Podawać rękę. Widząc mnie, odwróca twarz w inną stronę. Zaczną wpatrywać się w niebo. Albo — studiować z wielką żarliwością płyty trotuaru. A potem? Potem przyjdzie kolej na wieści. Niejasne wieści kolportowane z zapałem, rozpowszechniane z entuzjazmem. Że w mieście, w którym nigdy nie byłem, zdefraudowałem znaczną kwotę pieniędzy. Taką, którą jako człowiek ubogi nigdy na oczy nie widziałem. Że w latach wojny — mimo młodego wieku — służyłem w granatowej policji i szczególną satysfakcję sprawiało mi rozstrzeliwanie komunistów. Albo, że zagłodziłem matkę, ojca zaś, siwego jak gołąb staruszka, wygnałem w jesienną słotę z domu. Boję się, proszę pana, boję się. Czy mogą mi coś zrobić? Nic, w każdym razie niewiele. Nie zajmuję eksponowanego stanowiska. Nie jestem kimś, kto odgrywałby znaczniejszą rolę w życiu publicznym. Więc te pogłoski... Nie mogą mi zaszkodzić. Zresztą prędzej czy później wezmą w łeb. Są zbyt komiczne, zbyt groteskowe, by wielu mogło w nie uwierzyć. A raczej — by wielu wierzyło w nie dłużej niż kilka dni. No, powiedzmy — dłużej niż tydzień.

Ale najśmieszniejsze to to, że ja ich rozumiem. Dotkniętych, urażonych, patrzących zezem, który niczego dobrego nie obiecuje. Oni włożyli wszystko w swoje książki. Wyrzekli się całej reszty. Tego, co mogliby mieć i tego, co im się wydawało, że mieć by mogli. Proszę pana, na dobrą sprawę, ich nie ma. To nieprawda, że chodzą, kołyszą się, potrząsają głowami, przechylają je z boku na bok. Ich nie ma. Są tylko książki. I teraz niech pan sobie wyobrazi, że ktoś dobiera się do ich książek. Że nawet chwali. Ale nie tak jak trzeba chwalić. Albo ma zarzuty, wiele zarzutów. Czyż można mu to darować? Zapomnieć, puścić płazem? Niech się pan postawi w ich sytuacji. Ktoś pana znieważył. Publicznie. Nadstawi mu pan drugi policzek? Choćby pan tego chciał, nie zrobi pan tego. Ci, którzy patrzyli na pańską hańbę, którzy widzieli ją w całej okazałości, żądają od pana odwetu. Wymuszają odwet.

Rozumiem ich. Nawet pogłoski rozumiem. To dalszy ciąg ich pisarstwa. To ich książki. Nie napisane jeszcze. Może nigdy ich nie napiszą? Ale to literatura. To świat na miarę wyobraźni. Ich wyobraźni.

Przesadzam? Generalizuję? Wyolbrzymiam? Proporcje są inne i układ rzeczy jest inny? Biorę przypadki wyjątkowe i przecież odosobnione? Ależ tak. Tak. Przesadzam. To zawiść, proszę pana. Zawiść z okazji każdej książki, którą napisali. I która im się udała. Z okazji każdego zdania, każdego wersu. Ponieważ oni są lepsi, a ja jestem gorszy. I gorszy pozostanę. Ponieważ oni widzą, słyszą, a ja jestem głuchym ślepcem, stukającym białą laską w chodnik. Zawiść, tylko zawiść.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ — „Giuseppe w Warszawie“ 35 seansów — 9183 widzów

WISŁA — „Życie prywatne“ 35 seansów — 7087 „

TEATR

NOWY — „Wicek i Wacek“ 6 spektakli — 2400 — 64%

NOWY — Mała Sala — „Całe życie“ 3 spektakle — 300 — 50%

POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie“ 6 spektakli — 3309 — 83%

JARACZA — „Wieczór Trzech Króli“ 4 spektakle — 1700 — 83%

7,15 — „Porwanie Sabinek“ 6 spektakli — 2600 — 85%

OPERETKA — „Ułani Księcia Józefa“ 6 spektakli — 5896—90%

FILHARMONIA — Inauguracja sezonu 2 koncerty — 1300 — 85%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

GRANICE EKSPERYMENTU

Dzieli nas dystans dwóch tygodni od chwili, gdy Teatr Ludowy w Nowej Hucie wystąpił w ramach Telewizyjnego Festiwalu Teatralnego z komedią Mikołaja Gogola „Rewizor“, w inscenizacji, reżyserii i scenografii Józefa Szajny. Początkowo chciałem o tym napisać w sposób żartobliwy, gdyż odkrywcza i nowatorska koncepcja Szajny zasługuje właściwie na wykpienie. Kiedy jednak w jednej i drugiej gazecie recenzenci pochwalili „świeżość spojrzenia“ na wybitny utwór gogolowski, zrozumiałem, że sprawa jest poważna i kpinkami wykpić się nie można. Jeden jedyny Jan Brzechwa miał odwagę powiedzieć na łamach „Expressu Wieczornego“, że król jest nagi, czyli że zamordowano Gogola tępą brzytwą w długich (nie krótkich) abcugach.

Józef Szajna postanowił uwspółcześnić satyrę Gogola. Jak stwierdził w słowie wstępnym Jerzy Bober, inscenizatorowi chodziło o to, ażeby „Rewizorowi“ nadać wymowę ogólnoludzką czyli pozbawić go historyzmu i lokalnego kolorytu rosyjskiego, co — jak dowodził dalej Bober — podniesie rangę satyryczną tej komedii. Nie lubię, gdy podnosi się rangę satyryczną komedii najwyższego lotu, bowiem doświadczenie uczy, że dobry autor zawsze wie lepiej, niż niejeden reżyser świeżo upieczony, jakim jest Józef Szajna. Cóż więc zrobił Szajna, jakich użył środków dla nadania „Rewizorowi“ aktualnej, dzisiejszej wymowy? Zabudowa przestrzeni scenicznej przypominała rupieciarnię, a raczej oborę, do której przez szpary w deskach, zaglądali aktorzy czy krówki już śpią, czy też jeszcze przeżuwają wieczorną strawę. Zamiast krzeseł lub foteli, zastosował rewelacyjny twórca widowiska „nasiadówki“ dla chorych na hemoroidy. Horodniczy miał na sobie coś w rodzaju fraka czy surduta, który odsłaniał gołe brzuch i widoczny nawet na źle odbierających ekranach telewizyjnych pępek aktora. Córka Horodniczego, obwieszona szmatkami i pończochami, spod których wyzierały „pejzaże striptisowe“, była dziwolągiem ze szpitala wariatów, kupcy poobwieszani puszkami po konserwach, naczelnik poczty, zasypujący scenę i współgrających papierzyskami i wszyscy pozostali stanowili najbardziej przekonywający dowód, że twórca przedstawienia nie miał żadnego wyobrażenia o tym, do czego się zabrał. „Rewizor“, jakiego zobaczyliśmy w telewizji, był wyprany z wszelkiej satyry, i historycznej i ponadczasowej, bezlitosne ostrze gogolowskie nie tylko stępiono, ale w ogóle nie pozostało zeń ani śladu. Całe przedstawienie, było nieszkodliwą, wariacką burleską, która w nic nie godzi, niczego nie potępia, nie wstrząsa i nie rozśmiesza. Dawno widzowie nie oglądali nic równie żałosnego. Pomijam już fakt, że w tym telewizyjnym „Rewizorze“ Chlestakow nie istniał. A przecież Chlestakow w intencjach autora jest główną postacią komedii. I takich Chlestakowych mieliśmy wtedy w Rosji wielu i mamy ich dziś, w naszym wieku dwudziestym, pod dostatkiem u nas i gdzie indziej. Wystarczy czytać gazety, by wiedzieć jak grasują w miastach i miasteczkach współcześni Chlestakowowie. Nic z tego, absolutnie nic, nie przedostało się do inscenizacji Szajny. Sądzę, mało, jestem przekonany, że nowoczesność, której próbkę dał nam Szajna w „Rewizorze“, jest wymysłem ludzi, którzy padli pastwą automistyfikacji.

Inscenizacja Józefa Szajny może służyć za punkt wyjścia do dyskusji, jak eksperymentować nie należy. Istnieją granice, których nie wolno przekroczyć. Tymi granicami jest dobry smak, logika utworu, jego zawartość ideowa i artystyczna, wzgląd na walory estetyczne i literackie dzieła. Za najgorszych czasów schematyzmu zmieniano zakończenia sztuk, by nadać im odpowiedni wydźwięk, grano dramaty „przeciwko autorowi“, co przejawiało się m. in. w tym, że sympatycznych arystokratów czyniono antypatycznymi nawet z wyglądu, a chłopków-roztropków (np. w „Spazmach modnych“) usiłowano awansować do roli bohaterów pozytywnych. Ale wszystko to było kaszką z mlekiem w stosunku do tego, co przed dwoma tygodniami zademonstrowała telewizja krakowska. Nasuwa się w związku z tym jeszcze jedna uwaga. Jakże bezradna jest nasza krytyka! Recenzenci teatralni albo nabierają wody w usta, albo kontentują się zdawkowymi komplementami. Któż bowiem śmiałby skrytykować nowoczesne pomysły inscenizacyjne? Przypomina mi się następująca anegdota o Boyu. Siedział on na jakimś przedstawieniu i obserwował grę jakiegoś aktora. W pewnej chwili nachylił się do sąsiada i zapytał: „A może to nie aktor?“.

Czy niedobrze byłoby postawić sobie czasem takie pytania: a może to nie reżyser? a może to nie inscenizator? a może to nie nowator? W chwilach, gdy zawodzi zmysł krytyczny, dobrze jest odwołać się do zdrowego rozsądku. Zaledwie parę dni temu w ramach tego samego festiwalu telewizyjnego Teatr Polski w Poznaniu nadał „Wiecznego małżonka“ Dostojewskiego w inscenizacji i opracowaniu młodego reżysera Stanisława Brejdyganta. Porównajcie, proszę, te dwa spektakle. W „Wiecznym małżonku“ prezentuje reżyser konsekwentny zamysł, cała sceneria podporządkowana jest głównej idei sztuki i przedstawienia. Można się z Brejdygantem zgadzać lub nie, ale jednego niepodobna mu odmówić: wiedzy o tym, czego chce i do czego zmierza. A jest to także reżyser młody, z aspiracjami do nowoczesności, ożywiony pasją szukania nowego i odkrywania nowego w starym. „Rewizor“ był dnem festiwalu. Niżej upaść nie można.

Jan Koprowski

Notatnik KULTURALNY

5. IX. — 13. IX. 1964 R.

PONIEDZIAŁEK

Niska temperatura, wiatry, wilgoć — idzie jesień. Babcia, babuleńka zgarbiona, siwa, idzie sobie, zatrzymuje się przed kinem Letnim, chciałaby zobaczyć „Słodkie życie“; ale jak tu iść do kina, skoro kości łamią, w krzyżu strzyka, a już chłody. Zobacz no — mówi — młody człowieku w gazecie, masz lepsze oczy, gdzie jeszcze grają to „Słodkie życie“? Zaglądam i swoim młodym oczom nie wierzę, w żadnym innym kinie „Słodkiego życia“ nie grają. Babcia pokiwała smętnie głową i poszła... do domu. Żal mi się zrobiło babci, może trochę i siebie, bo to jak człowiek w przyszłości podstarzeje, zostanie mu tylko ciepłe mieszkanie i zawiść, kiedy młodzi odepchną go łokciami od wejścia do autobusu, albo będą się śmiać kiedy zrobi odwrót do domu spod zimnego Letniego kina. Swoją drogą myślę, że nie tylko babcia-reumatyczka ma powód do biadania — ktoś tu spartolił repertuar kin.

WTOREK

Poddębice — Biblioteka Powiatowa — uśmiecham się, kiedy po odczytaniu szyldu zwiedzam ten przybytek wepchnięty siłą do jakiegoś szczupłego lokaliku, gdzie dawniej mieścił się ubogi sklepik. Poddębice rozbudowują się z rozmachem. Za kilka tygodni otworzy tu podwoje duży zakład przemysłowy, który zatrudni ponad 700 osób. W całym powiecie prowadzi się intensywnie prace melioracyjne i buduje sporo mniejszych zakładów przemysłowych. O budowie biblioteki nikt nie chce słyszeć, choć projekt został zrobiony kilka lat temu i choć SFOS dał na ten cel potrzebne pieniądze. Podobno Wojewódzka Komisja Rozdziału Robót Budowlanych, kiedy słyszy, że budowa ma być opłacana z funduszów SFOS-u natychmiast ją odrzuca, bez rozpatrywania konieczności budowy obiektu, bo wiadomo, że budowle z tego funduszu finansowane — to przeważnie obiekty kulturalne. W ten sposób zwodzi się pracowników kultury w wielu miejscowościach całe lata, obiecując im rozpoczęcie robót w następnym roku i da capo. Myślę, że jeśli komisja nie zmieni stylu pracy, to obiekty kulturalne będzie się urządzać w jaskiniach. No, ale wtedy będziemy mieli gwarancję, że ktoś tam otrzyma za swoje... maczugą.

ŚRODA

Postanowiłem, że nie będę już więcej kupował pocztówek z nagraniami. Te, które dotychczas nabywałem — produkowane przez prywatne zakłady — były dobre technicznie, ale przeważnie lansowały szmirę piosenkarską i często złych wykonawców. Kiedy jednak otrzymałem w prezencie nowiuteńkie duże pocztówki, nagrane przez znane zakłady zajmujące się produkcją płyt „Pronit“ w Pionkach, ucieszyłem się niezmiernie; nareszcie — pomyślałem — będzie to coś dobrego. Moja ofiarodawczyni z zapartym tchem włączyła adapter, położyła pocztówkę i... główka adaptera przejechała sobie w jakiś dowolny sposób, balansując w różnych kierunkach po pocztówce zostawiając z „Sorrento“ w wykonaniu M. Burano niezły charkot i zgrzyty. Kilkakrotne próby odtwarzania — nie pomogły. Podobnie rzecz się miała z piosenką „Dzieci Pireusu“ w wykonaniu K. Bovery i „Cztery mile za piec“ w wykonaniu H. Majdaniec. Dziewczynie wydawało się, że może pocztówki są zbyt duże — podcięła brzegi, straciła 36 zł, kazała mi wiązyć szmirowate pocztówki nagrane prywatnie. Odtwarzały się doskonale. Wytłumaczyłem dziewczynie, że widocznie w dużych seriach zdarzają się błędy techniczne częściej, niż w małych, jakie produkują małe warsztaciki, ale to tylko gwoli pocieszenia, bo sam w to nie wierzę i po cichu przyrzekłem sobie — nie kupię nigdy pocztówek z nagraniami.

CZWARTEK

Ogłoszono wyniki zamkniętego konkursu poetyckiego ogłoszonego przez Wydział Kultury WRN i Zarząd Oddziału łódzkiego ZLP na wiersz o bitwie brygady AL im. gen. Bema pod Ewiną. Jury pod przewodnictwem M. Piechala przyznało następujące nagrody: I Bernardowi Sztajnertowi za wiersz pt. „Bój pod Ewiną“, Trzy równorzędne drugie: Bernardowi Sztajnertowi za wiersz pt. „Żołnierz generała Bema“, Stanisławowi Kaszyńskiemu za wiersz pt. „Biały wiersz o rannej łączniczce Janinie“, Tadeuszowi Chróścielewskiemu za wiersz pt. „O ciszy, huku i pamięci“, oraz trzy równorzędne nagrody trzecie Tadeuszowi Gieglerowi za wiersz pt. „Wrześniowa noc“, Wacławowi Mrozowskiemu za wiersz pt. „Piosenka“ i Igorowi Sikryckiemu za wiersz pt. „Partyzanckie strofy“. Gratulujemy zwycięzcom konkursu. Jedna rzecz tylko arcydziwna: był to wprawdzie konkurs zamknięty, do udziału w którym powołani bywają wybrani przez jury poeci, ale jaki tu klucz zadziałał w doborze wybranych? W środowisku bowiem mówi się o tym: „Konkurs dla przyjaciół“.

PIĄTEK

W Filharmonii inauguracyjny koncert symfoniczny. W programie „Fantazja i fuga organowa c-moll“ — J. S. Bacha w instrumentacji Wilkomirskiego, „Muzyka nocą“ — St. Skrowaczewskiego, „Koncert skrzypcowy“ A. Chaczaturiana. Solistką koncertu jest światowej sławy skrzypaczka, W. Wilkomirska, która kilkakrotnie bisowała; dyryguje doskonały S. Marczyk. Sala wypełniona po brzegi, wolnych miejsc nie ma, choć sezon urlopowy jeszcze się nie skończył. Kiedy porównuję filharmonię z teatrami łódzkimi, gdzie lansuje się uporczywie repertuar rozrywkowy, gwoli jak to się mówi przyciągania widza, myślę, jak nierozłączne jest pojęcie sztuki od zespolenia dwóch czynników: **ambitnego repertuaru i dobrych wykonawców** i że to jest właśnie wyrazem troski socjalistycznej o podniesienie kultury mas. Prosimy więc o pozycje ambitne, aby wreszcie nasz widz nie sądził, że go lekceważymy, aby nie brnął w kompleks prowincji, w który został zepchnięty, dzięki różnym „zabiegom kulturowym“.

SOBOTA

Od dawna na to czekałem, chciałem wreszcie zobaczyć nowoczesne meble w nowoczesnym mieszkaniu i oto moje marzenie spełniło się. Przy ul. Piotrkowskiej 209 otwarto wystawę nowoczesnych mebli umieszczonych we wnętrzach mieszkalnych nowoczesnego bloku. Spodziewałem się zobaczyć coś nowego, lepszego od wystawianych w „Adasiu“ — mebli. Pierwsza rzecz, jaka się rzuca w oczy, to podobieństwo do mebli z „Adasia“ i ciasnota w pomieszczeniach. Inaczej wyobrażałem sobie funkcjonalizm w urządzaniu mieszkania. Wydawało mi się, że powinienem zobaczyć przede wszystkim meble w ścianach i wnękach. To co zobaczyłem — wprowadziło mnie w zły humor. — Nowoczesne, proste w budowie i zawalające kawał mieszkania — graty, różnią się od starych secesyjnych tym, że tamte były wygodniejsze, a więc funkcjonalne rzeczywiście. Dodajmy ceny nowoczesnych mebli, też nowoczesne — od 8,5 do 42 tys. zł. Z lubością zasiadłem w starym, popsutym, wciskającym mi sprężyny w siedzenie fotelu — odziedziczonym po prababci i zacząłem bardzo nowocześnie dumać, czy to aby tak...

NIEDZIELA

Oglądałem już sygnalny egzemplarz „Przewodnika turystycznego po Łodzi“. Ukazuje się on na czasie, bo właśnie sezon turystyczny się kończy. Sam przewodnik, od dawna oczekiwany — jest interesujący. Na 130 stronicach — znajdziemy cząstkowe plany poszczególnych dzielnic, 15 tras turystycznych w mieście, sporo plansz, fotografii. Artykuły wybitnych znawców przedmiotu — naukowców łódzkich mówią o historii i rozwoju Łodzi, o gospodarce i przyrodzie, o perspektywach rozwojowych miasta i najważniejszych dla turysty obiektach usługowych, kulturalnych i innych. Przewodnik opracowali W. Kasprzak i A. Batorowicz, wydaje go Wydawnictwo Łódzkie, na zlecenie ŁKKFiT. Jak przystało na tak popularną książeczkę — będzie ona wydana w nakładzie... 10 tys. egzemplarzy. Można się więc spodziewać, że zostanie wyprzedana systemem „spod lady dla znajomych“ w ciągu kilku godzin. Próżno będą wzdychać biedni cudzoziemcy, którzy odwiedzają nasze miasto — za przewodnikiem, próżno będą wzdychać za nim rodacy z innych miast, jak wzdychają dotąd bezustannie za widokówkami z Łodzi. Pocieszamy ich — po cóż sobie zawracać głowę byle Łodzią, czy nie ma ciekawszych obiektów na świecie — Paryża, Tokio, Nowego Jorku?

J. H. W.

Listy z Wieluńia

Brama krakowska.

LIST PIERWSZY

Jestem tedy w grodzie sławnym, a starym – Wieluniu. Wieluń posiada bramę zabytkową, zwaną tu Bramą Krakowską. Brama ładna – byłaby..., gdyby zdjęto z niej rusztowania. Właśnie mija trzecia rocznica, gdy je tu ustawiono. „Panta rei, lecz nic si nie dzieі".

Wieluń, jak Panu wiadomo, leży na skrzyżowaniu ważnych dróg, mają więc jego mieszkańcy sporo możliwości. Jedni studiują we Wrocławiu, inni w Łodzi, Częstochowie, Poznaniu, Katowicach, Opolu i trudno dociec, gdzie jeszcze. To się wiąże, oczywiście z rozwojem przemysłu i rolnictwa w mieście i powiecie, a więc zapotrzebowaniem na wykwalifikowane kadry.

Nowa Biblioteka Powiatowa jest to okazały gmach, chyba jeden z najpiękniejszych obiektów tego typu w Polsce – zbudowany za pieniądze ze składek SFOS. W ciągu 17 lat skrzętni mieszkańcy Wielunia i powiatu zebrali aż 10,5 mln zł. Z tego otrzymali 2,2 mln zł na zbudowanie biblioteki oraz sporo pieniędzy na inne obiekty.

Biblioteka to prawie coś w rodzaju instytutu upowszechnienia kultury i nauki. Posiada ona już ok. 40 tys. tomów

Działa tu dobrze pracujące Koło Przyjaciół Biblioteki, które skupia 141 członków. Koło prowadzi zakupy książek z własnych funduszów, urządza wystawy i zaprasza na spotkania znanych naukowców, literatów i dziennikarzy. Te „spotkania czwartkowe" weszły już mieszkańcom Wielunia niejako w krew, stały się imprezą tak popularną, że bywa na nich przeciętnie 80–100 osób.

Ciekaw Pan zapewne, kogo się tutaj zaprasza, turystów? Teraz bywają tu profesorowie uniwersytetów, znani literaci łódzcy i warszawscy. W planach na najbliższy okres widzę spotkania z S. Szmaglewską, S. Wygodzkim, T. Różewiczem i innymi znanymi pisarzami.

Myśli Pan, Panie Redaktorze, że ludzie w Wieluniu skazani są wyłącznie na bibliotekę. Ewentualnie jeszcze kino?

W dużej, zbudowanej także niedawno, sali widowiskowej obok Biblioteki wystawiają swoje spektakle teatralne: Teatr Kaliski, Teatr z Gniezna, Teatr z Poznania, Teatr z Opola, Teatr Ziemi Łódzkiej i inne trupy wędrowne łącznie z Estradą. Ludzie mają więc do wyboru w Wieluniu sporo ciekawych rzeczy i trudno już dziś wpychać im byle chałturę – bo po prostu nie przyjdą oglądać widowiska. Są bardzo uczuleni. I niech tylko któryś zespół zechce ich zlekceważyć, może liczyć się z tym, że przy następnej okazji sala będzie świeciła pustkami. Ale i tak słyszałem narzekania. Szczególnie młodzież, ci którzy bywają w dużych miastach i mają możność porównania tego co się pokazuje w Wieluniu, z tym co można oglądać gdzie indziej twierdzą, że teatry objazdowe bazują zbyt często na rozrywce, podczas gdy oni chcieliby oglądać teatr z prawdziwego zdarzenia, widowiska, które by były wydarzeniami w życiu teatralnym.

Wie Pan dobrze, Panie Redaktorze, co się stało z Wieluniem we wrześniu 1939 roku. Niemcy zniszczyli miasteczko, tak że prawie 80 proc. zabudowań legło w gruzach. Likwidowano szczególnie zabytki, które świadczyły nie tylko o świetnej historii grodu, ale także o jego silnych związkach ze Śląskiem. M. in. zbiory z miejscowego muzeum zostały przez Niemców zagrabione, lub zniszczone. Zabytkowe budowle, które mogły dać świadectwo polskości tej ziemi były także niszczone. Stąd ten pęd do odbudowy, do wskrzeszania wspaniałych tradycji historycznych u wieluńskiej młodzieży.

Mgr Tadeusz Olejnik pochodzi z podwieluńskiej wsi Okalew. Kiedy skończył studia historyczne w Łodzi – proponowano mu dobrą posadę i możliwość pracy naukowej w Łodzi. Propozycję odrzucił. Pojechał do Muzeum Regionalnego w Sieradzu, by zdobyć praktykę. Po dwu latach przeniósł się do Wielunia. Tutaj zaczął się z początku na stanowisku kierownika Powiatowego Domu Kultury, ale robił po cichu swoje. Pan pyta co robił?

No, oczywiście – podziemną robotę, ale o tym później.

Ponawiązywał wiele kontaktów z miejscową młodzieżą i ludźmi, którzy umiłowali to miasto. Zbierał skrzętnie wiele dokumentów, skorup, kamieni jakichś, pordzewiałego żelastwa. I prowadził prace archeologiczne – to była ta podziemna robota. W br. oficjalnie powołano do życia Muzeum Regionalne w Wieluniu, na czele którego stanął oczywiście mgr Olejnik. Ta pasja jego życia, to marzenie – krzyżuje się z marzeniami wszystkich mieszkańców Wielunia szczególnie tych, którzy mu pomagali i tych, którzy postulowali odbudowę muzeum już w 1945 roku, gdy tylko Niemcy zostali zmuszeni do ucieczki. Zbiory, które opracowuje mgr Olejnik – są imponujące. Pomogli mu je zgromadzić ludzie z Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Regionalnego w Wieluniu i miłośnicy Wielunia rozproszeni po całym świecie.

Chwilowo zbiory znajdują się w magazynie. Jest lokal po dawnej bibliotece, ale część frontową oddano Ognisku Muzycznemu i poza wystawą „Dawny Wieluń w malarstwie i fotografii" więcej wystaw mgr Olejnikowi nie udało się zorganizować. Choć z okazji 20-lecia urządził on konkurs, w wyniku którego zebrał cenne eksponaty sztuki ludowej.

W przyszłości Muzeum Regionalne w Wieluniu będzie się mieściło w Klasztorze Bernardynów, którego mury stanęły tu w roku 1612. Ale gmach trzeba będzie odrestaurować, bo do niedawna mieściła się tu stolarnia. Dotychczas nie zabezpieczono budynku i chuligani wybijają tu szyby, a także rozkradają deski. Mgr Olejnik z niecierpliwością czeka, żeby Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków ogrodziło ten obiekt. Niebawem mają się tu rozpocząć prace.

Zwiedzałem jeszcze i Powiatowy Dom Kultury. Sporo się tu zmieniło w ostatnich czasach. Młodzież ma tutaj swój klub, w którym można się napić kawy, posłuchać odczytu, podyskutować wreszcie, czy odpocząć przy grach stolikowych. W tymże domu prowadzi się kursy kilku obcych języków, tu działa sekcja fotograficzno-filmowa, tu ćwiczy kapela, zespół estradowo-muzyczny, zespół teatralny, tutaj znajduje się wypożyczalnia kostiumów teatralnych, biblioteka repertuarowa i tutaj prowadzi się zajęcia z kierownikami wiejskich świetlic. Jak więc widać, w Wieluniu, w kulturze, wiele się dzieje.

W nauce też postępy. Szczególnie interesowano się ostatnio pewnym zjawiskiem astronomicznym, kiedy na miejscowym firmamencie pojawił się Meteor i planeta Wenus. Pańska gazeta, która sygnalizowała pojawienie się tych ciał – została wówczas doszczętnie wykupiona. Ale wie Pan jak to jest z tymi ciałami niebieskimi – nigdy nic nie wiadomo. Meteor niczym kometa poszybował w inne regiony firmamentu, a planeta odpłynęła za nim i zainteresowanie astronomią zmniejszyło się nieco. Miejscowi „astrologowie" twierdzą jednak, że układy gwiazd są sprzyjające dla Wielunia i to jest pocieszające.

Ściska dłoń.

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

LIST DRUGI

Wiadomość o przybyciu do Wielunia Kabaretu Studentów Wyższej Szkoły Aktorskiej i Filmowej w Łodzi „Kiks" ucieszyła społeczeństwo Wielunia. Bilety na przedstawienie wyprzedano. Początek przedstawienia wyznaczono na godzinę 19.30 – rozpoczęło się później co publiczność zniosła z wyrozumieniem.

Afisz programu pt. „Nie rusz Andziu tego kwiatka" zapowiadał stare i nowe piosenki, monologi, tańce, szermierkę, migawki z życia Szkoły Aktorskiej.

„Piosenki stare i nowe" wykonywali kandydaci do zawodu aktorskiego a nie wokaliści. Nie można było pozbyć się myśli, że dla odwrócenia uwagi od fonicznej sfery wrażeń młode wykonawczynie robiły ogromne wysiłki, by górę wzięły u jednoczesnych słuchaczy i widzów wrażenia wzrokowe.

Twórcy programu umieścili piosenkę z teki L. Schillera pt.: „Co się stało we dworze". Było to krzywe odbicie wykonania tego tekstu w „Kramie z piosenkami" w teatrze Ateneum w Warszawie.

Wykonano po kilka taktów tańców polskich i obcych ale czy były istotnie w programie tańce?

Dowcipy, którymi uraczył audytorium teatrzyk były stare, bardzo stare i mało, bardzo mało dowcipne. Obok nich deklamowano wiersze najlepszych poetów jak np. Kerna i Gałczyńskiego.

I tak w ciągu dwu godzin dowiedzieli się co uważniejsi wielunianie czego jeszcze nie potrafią ludzie, którzy chcą być aktorami. Byli wśród widzów i tacy, których bawiły wyszargane dowcipy i zaśmiewali się z tego powodu, że Gałczyński w wierszu „O wróbelku" użył zwrotu „do jasnej cholery"! Można jednak śmiało powiedzieć, że nawet i ci woleliby widzieć program dokładniej opracowany i wykonany przez liczniejszy zespół. W sumie było pięć osób: dwie panie i trzech panów. Jest to chyba zbyt skromna grupa (w dodatku początkująca aktorsko) by mogła sprostać zadaniom, jakie postawili przed sobą z chwilą, gdy nazwali się kabaretem.

Zdawać się może, że atakuje się młode talenty, które mają prawo popełniać błędy. Nie o to chodzi. Słowa krytyki zmierzają ku temu, by Estrada Łódzka ostrożniejsza była przy podpisywaniu się pod programami niektórych zespołów. Nawet prowincji nie wolno lekceważyć. Wielu ludzi w prowincjonalnych miasteczkach potrafi odróżnić sztukę od szmiry i aktorstwo od beztalencia.

Wieluń przestał być „prowincją kulturalną". Działa tu ruchliwe Koło Przyjaciół Biblioteki, ludzie czytają, dyskutują, oglądają często dobre przedstawienia. Występ kabaretu „Kiks" był dla wielu przykrą niespodzianką i obrażającym gestem lekceważenia dla „prowincji".

Studenci, studenci, cóż powiedziałby na to wasz patron Leon Schiller?

ZOFIA DYGAS
Wieluń
ul. Palestrancka 4 m. 21

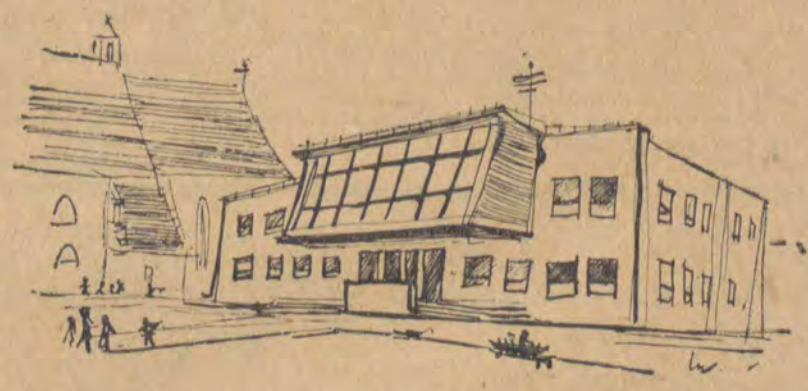

Biblioteka

(Rys. Wacław Kondek)

Półka z książkami

OSTATNIA KSIĄŻKA GRZESIUKA

„Na marginesie życia" jest trzecią, a zarazem ostatnią książką Stanisława Grzesiuka. Zawężając temat stwierdzić można, iż jest to opowieść o walce ze śmiercią, jaką prowadził autor ciężko chory na gruźlicę. „Zawężając", bo jest to książka poświęcona w zasadzie nie jednostce, a środowisku ludzi dotkniętych tą chorobą.

Grzesiuk podjął w swych kronikarskich zapiskach wiele problemów dotyczących tego środowiska: — życie zamkniętych w sanatoriach i szpitalach ludzi, pełne cierpienia, lęku, walki prowadzonej z chorobą, tak często zahaczającej o stół zabiegowy, osobiste dramaty, i wreszcie, bodaj w książce problem najważniejszy — zjawisko społecznej izolacji gruźlików.

Książka ma dwojakiego adresata: środowisko gruźlicze i pozostałą społeczność. Słowa o potrzebie zachowania ludzkiej, bo odważnej i godnej postawy w obliczu choroby — adresowane są do pierwszej grupy czytelników, apel o zrozumienie dla środowiska chorych, o zaangażowanie społecznej troski w imię pomocy tym ludziom, przywrócenia ich społecznemu życiu — rzucony jest pod szerokim adresem.

„Na marginesie życia" jest książką typową dla pisarstwa Grzesiuka. Wykazując nieporadność warsztatową, tchnie autentyzmem, szczerością, pełna humoru i smutku zarazem, głosi postawę afirmacji życia, niepoddawania się.

Wydawnictwo poprzedziło zapiski „Wspomnieniem o Stanisławie Grzesiuku" pióra redaktora jego książek, Janiny Preger.

K. B.

Stanisław Grzesiuk „Na marginesie życia", KiW, 1964, str. 228, cena 15 zł.

„OPOWIADANIA" MROŻKA

Obywatele Polski Ludowej dzielą się na dwie zasadnicze kategorie: zwolenników i przeciwników Sławomira Mrożka. Pisarz ten stał się instytucją. Wszędzie go pełno. Od „Podwieczorków przy mikrofonie" do „Przekroju".

Do bitew o Mrożka między jego zwolennikami i przeciwnikami dochodzi głównie z okazji premier jego niektórych sztuk, na ogół nie więcej niż 1-aktowych. Bo Mrożek, jak nie trudno się tego domyślić, jest mistrzem małych form: krótkich opowiadań i jednoaktówek. Jego dłuższe rzeczy zaczynają już budzić wątpliwości i nieco nużą, oczywiście przeciwników. W każdym razie Mrożek jest chyba jedynym z powołania na naszym dość ponurym gruncie, satyrykiem nowoczesnym. Tzw. ostrze jego satyry muska czasem i sprawy powierzchowne, drugorzędne, ale z zasady godzi w głąb przede wszystkim mitologii narodowej tudzież mitologii, jaką stwarzamy na swój codzienny użytek. Dzieli nas zatem ledwie krok od wysunięcia rewolucyjnej wprost tezy, iż za obiekt swej satyry bierze Mrożek stereotyp Polaka prawdziwego. Wyśmiewa konwencje myślenia i postępowania zbiorowego i indywidualnego. Jest też mistrzem parodii i pastiszu. Jego styl zawsze znakomicie współbrzmiewą z treścią i duchem utworu. Bryluje zwłaszcza w świetnym podrabianiu stylu wieszczów naszej literatury, np. Wyspiańskiego. Tyle o autorze, nie opowiadając się po stronie żadnego z obozów.

„Opowiadania"; to znaczy zaprezentowany nam wybór opowiadań znakomicie ilustruje charakter i rodzaj satyry i dowcipu Mrożka. Mniej tu, być może, polemiki zasadniczej z mitologią narodową, występującą głównie w dramatach. Dużo dowcipu czystego. W sumie pyszna zabawa.

M. K.

Sławomir Mrożek, „Opowiadania", Wydawnictwo Literackie, 1964 r.

„GRANICA ISTNIENIA"

„Granica istnienia" Marii Rutkiewicz nie jest pamiętnikiem. To po prostu dobra proza oparta na materiale autobiograficznym, będąca już literaturą: w konstrukcji, w operowaniu obrazem, w biegłości warsztatu pisarskiego.

Dla pokolenia polskich komunistów „skok" oznaczał decyzję zejścia do paszczy lwa, skok z samolotu na tereny okupowane, aby organizować walkę z hitlerowcami.

Niewielu żyje skoczków, polskich komunistów, którzy w latach czterdziestych opuścili bezpieczne równiny Uzbekistanu czy Kazachstanu, aby wrócić z pistoletem i radiostacją do Polski, jeszcze okupowanej, jeszcze walczącej. Maria Rutkiewicz jest jedną z nich. Razem z nią z tego samego samolotu skakał m. in. Marceli Nowotko. Maria Rutkiewicz jest jedyną żyjącą z tej grupy. Jej wspomnienia, obok walorów literackich, mają więc ten niepowtarzalny, wielki walor autentyczności i dokumentu.

Ten temat, historyczny temat podjęty przez świadka i autora wydarzeń — sprawił, że otrzymaliśmy książkę nie tylko dobrą, ale i potrzebną i co najważniejsze prawdziwą.

J. W.

Maria Rutkiewicz, „Granica istnienia", Czytelnik, 1964 r.

List z Kielc

Sto pięćdziesiąt po raz pierwszy! Kto da więcej?

Wojciech Siemion, niezmordowany, ociekający potem, dzwoni widelcem w talerzyk, spełniający teraz funkcję gongu:

— Sto pięćdziesiąt po raz drugi! Moi państwo, same ramy i szkło więcej warte, obraz idzie za darmo! Kto da więcej?

Rzecz dzieje się w kawiarni „Staromiejskiej", mieszczącej się w dawnej kamieniczce Sołtyków w Kielcach — „u Sołtyków", jak się tutaj mówi. Impreza, jakiej Kielce jeszcze nie miały: publiczna licytacja obrazów, i to nie żadnych tradycyjnych martwych natur czy pejzaży, ale bardzo współczesnych i bezkompromisowych grafik młodego plastyka, Adama Wolskiego. Autor — absolwent warszawskiej ASP — siedzi teraz na stopniu estrady, podkurczywszy pod brodę bardzo długie nogi, i z jego miny można wywnioskować, że znalazł już odpowiedź na niedawne wątpliwości, czy impreza „chwyci". Wszystkie stoliki są oblężone, w drzwiach tłoczy się spora grupka ludzi, a z dołu, z szatni, wciąż jeszcze dobiegają odgłosy utarczek.

Z początku publiczność była chłodna. Z uwagą, ale i z rezerwą przyjęto króciutką, dowcipną prelekcję Siemiona na temat współczesnej sztuki. Recytacja wierszy związanych z malarstwem podnosi temperaturę sali o kilka stopni. Dalej już wszystko idzie gładko.

A zaczęła się ta akcja przed rokiem z inicjatywy skromnego starszego pana. Starszy pan nazywa się Kopała i pracuje w jednej z filii spółdzielni „Runo", trudniąc się oprawą obrazów. W życiu prywatnym jest koneserem dzieł sztuki, ma w domu sporą kolekcję obrazów, głównie związanych tematyką z Ziemią Kielecką. To on wpadł na pomysł, aby przedzielić na pół lokal spółdzielni i w jednej z części urządzić miniaturową galerię. Chciał udostępnić ludziom kontakt ze sztuką współczesną, ludziom, którzy — jak sam to określa — „tkwią jeszcze w jeleniach".

Inicjatywa była z pewnością potrzebna, bo przez salkę przewinią się w sezonie około 100 osób, a w księdze uwag czytałam nie kończące się pochwały. Tak, spółdzielnia dobrze się przysłużyła miastu, które do tej pory nie posiada własnego pawilonu wystawowego, mimo że na terenie samych Kielc działa około 50 plastyków.

I tu, trawestując znaną piosenkę „Lorenzo", można by zacząć wyliczać, „czego to Kielce nie mają":

A więc, oprócz wspomnianego pawilonu, nie mają Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Dużo się o tym mówiło, dużo się obiecywało. Podobno pod koniec bieżącego roku Klub wreszcie zostanie oddany do użytku. Tymczasem w Kielcach nie sposób dostać zagranicznych czasopism, narzekają więc plastycy, narzekają technicy i w ogóle w Kielcach dużo się narzeka.

Rozpłynęła się też we mgle sprawa wyższej uczelni. Jak dotąd istnieje w Kielcach tylko filia Akademii Górniczo-Hutniczej, filia krakowskiej Wyższej Szkoły Inżynieryjnej i Studium Pedagogiczne. Mówi się o Wyższej Szkole Pedagogicznej, ale to jeszcze nic pewnego.

Nie ma oddziału Związku Literatów Polskich. A przecież działa tu żywotne „Ponidzie" z Waldemarem Babiniczem na czele, w samych Kielcach też mieszka paru literatów.

Tak więc można sobie ponarzekać przy pół czarnej, w przepełnionych jak wszędzie kawiarniach. Że nudno, drętwo i nie ma dokąd pójść. W tej chwili trochę to uzasadnione, jest sezon ogórkowy i wszystko pozamykane, prócz ośmiu kieleckich kin, z których najnowsze i najelegantsze — „Romantica" — wznosi swój wysoki, półkolisty fronton przy dworcu PKS.

We wrześniu wznowi przedstawienia kielecki teatr im. Żeromskiego. Podobno sezon ma zostać zainaugurowany sztuką Kawalca i Smożewskiego, opartą na książce Kawalca „Ziemi przypisany".

Teatr bazuje głównie na repertuarze klasycznym; jako jedyny teatr w mieście nie może sobie pozwolić na lansowanie bardziej awangardowego programu. Padają więc zarzuty na temat szacownych staroci i nudziarstwa. Ci, bardziej zblazowani, chcieliby oglądać Ionesco i Becketta, ale jak tu wybrnąć z dylematu, gdy choćby młodzieży szkolnej trzeba przecież pokazać właśnie te klasyczne i nieśmiertelne „starocie". A prócz młodzieży jest jeszcze inny krąg odbiorców, do których teatr dociera, organizując wyjazdy w teren, do miejscowości pozbawionych własnej sceny i urządzając przedstawienia w plenerze. W ten sposób wystawiono „Hamleta" w ruinach chęcińskiego i bodzentyńskiego zamku. Podobno chłopi tłumnie zjeżdżali furmankami...

W tym roku ma dojść do skutku projekt przywrócenia istniejącej kiedyś sceny eksperymentalnej, która ma zaspokoić bardziej wyrafinowane gusty, a zarazem dać pole do popisu dla wszystkich postępowych środowisk twórczych z terenu Kielc.

(Tu przypominam sobie, że prócz tego wszystkiego istniał do niedawna przy Klubie Teatrzyk Dziennikarzy, prowadzony przez Ryszarda Smożewskiego. Teatrzyk był zjawiskiem zauważonym przez ogólnopolską krytykę, miał przed sobą przyszłość. Niestety, Smożewski wyjechał do Krakowa, a teatrzyk diabli wzięli. Plotki głoszą, że zabrakło funduszów. A może po prostu zabrakło kogoś, komu istnienie teatrzyku naprawdę leżało na sercu?)

We wrześniu rozpocznie sezon kielecka filharmonia, prowadzona przez Karola Anbulda. Przepraszam, nie filharmonia, na razie jest to jeszcze orkiestra symfoniczna, zmiany mają nastąpić, gdy zlikwiduje się obskurną knajpę — zabytek dawnych Kielc — położoną na zapleczu. Lokal zostanie wówczas powiększony, urządzi się sale prób, poszerzy skład orkiestry. Już obecnie przygotowuje się do występów chór — pozostałość dawnego chóru katedralnego — który w przyszłości uzupełni poczet filharmoników.

— Prowadzimy systematyczny rozwój bazy kulturalnej — mówi Ryszard Miernik, autor „Matoła", wydanego niedawno w Czytelniku. — Niestety nie wszędzie można dotrzeć, na dalekich przedmieściach nie ma nawet sklepów, co dopiero mówić o placówkach kulturalnych. Kielce rozbudowują się szybko, w najbliższej pięciolatce główny nacisk ma być położony na budownictwo.

W tym roku odbędzie się otwarcie muzeum lat szkolnych Żeromskiego. Muzeum będzie się mieścić w szkole, do której Żeromski uczęszczał.

Istniejące od dawna Muzeum Świętokrzyskie mieści się tuż obok Prezydium. Niestety — i tu zamknięte. Remont. Kustosz, Aleksandra Dobrowolska, siedzi w zagraconym eksponatami pokoiku i trzyma w rękach cudaczną maskę. Maska ma brodę z kolców jeża i włosy z piór.

— To maska kolędnika — wyjaśnia mi pani kustosz. I wdaję się w rozmowę z jakąś młodą osobą:

— Niech pani tu przylepi te pióra, tu gdzie tak „wyłysiał". Mam niestety tylko pióra indycze, nie bardzo odpowiednie. A szkoda: wczoraj byłam na wsi, akurat bili kury u proboszcza, tamte pióra lepiej by się nadawały...

Muzeum powstało w 1909 roku jako Muzeum Polskiego Tow. Krajoznawczego. Pierwszym kustoszem był Tadeusz Włoszek, powstaniec z 1863 r. W czasie wojny ocalało dzięki wysiłkom dwóch działaczy regionalnych i pedagogów: Sylwestra Kowalczewskiego i Edmunda Massalskiego. Obecnie dyrektorem jest mgr Alojzy Oborny, historyk sztuki. Muzeum posiada dział sztuki, archeologii, etnografii, przyrody i historii. Obecnie trwają przygotowania do uczestniczenia w wystawie sztuki ludowej czterech województw, która będzie otwarta we wrześniu w Lublinie. Planowane są badania kultury puszczańskiej woj. kieleckiego i trzech innych. Opiekę naukową nad tym przedsięwzięciem sprawuje prof. Reinfuss z katedry etnografii w Lublinie.

Oto, co się dzieje w Kielcach — oczywiście w dużym skrócie: a wieczorem „u Sołtyków" Wojciech Siemion wdrapał się na taboret pośrodku sali i recytuje Gałczyńskiego. Skończył, żegna się z publicznością, chce zeskoczyć z taboretu — nic z tego. Musi recytować jeszcze i jeszcze, zmuszony do tego nie kończącymi się oklaskami.

A później, w połączonej z kawiarnią małej salce NOT-u, przy lampce wina, daje się uprosić i znów słuchamy Gałczyńskiego. Można by tak siedzieć długo w noc, gdyby nie to, że personelowi kawiarni należy się wreszcie odpoczynek.

Tak, to była udana i potrzebna impreza.

Rozmawialiśmy o tym, wracając samochodem do Zagnańska, gdzie mieszka Adam Wolski i jego siostra, Zofia Wolska-Bimer, znana dziś w Polsce rzeźbiarka, uczennica Xawerego Dunikowskiego. Pani Zofia jest laureatką zeszłorocznej Nagrody Państwowej. Jest ponoć najaktywniejszą w tej chwili rzeźbiarką w Polsce, pomnik za pomnikiem wychodzi z jej rąk — m. in. w 1961 r. odsłonięto pomnik Rozstrzelanych w Kielcach, w 1962 — Pomnik Partyzantów na Św. Katarzynie, w 1964 — Pomnik 20-lecia Władzy Ludowej w Opatowie. Teraz pracuje nad Pomnikiem 20-lecia dla Przysuchy, poza tym od zeszłego roku przygotowuje Pomnik Martyrologii Żydowskiej dla Kielc. Jest współautorką 2 wyróżnionych projektów na pomnik Marchlewskiego w Łodzi (ciekawy prawda?)

Apteka w Zagnańsku — rodzinne gniazdo Wolskich — jest taką sobie małą ambasadą kulturalną: stale tu wpadają zaprzyjaźnieni aktorzy, plastycy, literaci. Z Kielc, z Warszawy, Krakowa... Toczą się dyskusje, padają projekty, to właśnie tu zrodził się pomysł urządzenia dzisiejszej imprezy nie w zamkniętym klubie, ale w dostępnej dla wszystkich kawiarni.

Dzisiaj honorowym gościem jest Wojciech Siemion — niejako honorowy obywatel Kieleczyzny, jako że właśnie kręci na Św. Katarzynie film „Barwy walki". Mam podstawy przypuszczać, że rozpoczęty „u Sołtyków" wieczór nie skończył się na owej lampce wina w klubie NOT-u. Powinnam teraz dodać: „I ja tam byłam i szampan radziecki piłam".

EWA DĄBROWSKA

Fraszki jana Czarnego

STARY ŚWIAT

Świat jest stary, nawet bogi
gubią się w chronologii.

CÓŻ TO...

Cóż to za Seneka,
co na rozum czeka?

Grajek

Adam Zegadło rzeźbiarz ludowy z Łęcznej.
Fot. J. Sidowski

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

POUCZAJĄCA WŁÓCZĘGA

Ostatnio ukazały się dwie nowe książki Zbigniewa Nienackiego, „Z głębokości" i „Wyspa Złoczyńców", tak na pozór odrębne, że nie uprzedzony czytelnik z trudem uwierzyłby, że wyszły spod tego samego pióra. A jednak obie te powieści łączą wyraziście wspólne motywy, mimo że „Z głębokości" to „dorosła" opowieść o powolnym konaniu człowieka chorego na gruźlicę (uwspółcześniona wersja „Śmierci" Dąbrowskiego!), a druga — to pogodna historia wakacyjna dla młodzieży, w niektórych momentach, owszem, dramatyczna, ale z happy endem.

W obu pozycjach wyraźna jest pasja archeologiczno-antropologiczna — do tropienia w ziemi śladów dawnego życia, zamarłych kultur, minionych kształtów. I tu, i tam rozkopuje się groby, odkrywa szkielety, i tu, i tam snuje się nad tymi wykopaliskami refleksje — w jakże jednak odmiennych idą one kierunkach! Bohater „Z głębokości" zatruty jest obsesyjną myślą o śmierci, o samym nawet procesie umierania, o wiecznym przemijaniu spraw ludzkich, w „Wyspie Złoczyńców" oglądanie czaszek i szkieletów służy czemuś zupełnie innemu: odtworzeniu rodowodu człowieka, poznaniu ewolucji jaką przebył w ciągu milionów lat, a także wnioskom najbardziej aktualnym, antyrasistowskim. Słowem — dominują cele poznawcze i dążność do powiązania bardzo odległej przeszłości z teraźniejszością.

Przejdźmy już do „Wyspy Złoczyńców". Czy można traktować tę książkę jako „udziecinnioną" wersję tematu pasjonującego autora, tematu, który zasługiwał na głębsze potraktowanie w „dorosłym" wymiarze? Otóż wydaje się, że jest przeciwnie. Nie analizując na tym miejscu „Z głębokości" — trzeba jednak stwierdzić, że „Wyspa Złoczyńców" pisana jest swobodniej, mniej po literacku, że autor daje tutaj wyraz swym upodobaniom w sposób naturalny i bezpośredni, co wyszło książce na dobre. Nawet zawarte w książce wykłady o wykopaliskach nie są sztywne lecz spontaniczne, jak gdyby wyrzucone „jednym tchem".

Otóż właśnie. Najbardziej pasjonujące jest w książce wszystko to co dotyczy wykopalisk. Nie nudząc czytelnika, autor wyjaśnia mu wiele ciekawych rzeczy, począwszy od różnic między archeologią a antropologią, poprzez przystępnie ujętą teorię ewolucji i dzieje wszechświata (tu przytyk pod adresem korekty: gdy mowa o erach geologicznych, prześliznął się niedopuszczalny błąd na s. 139, że „nasza planeta istnieje kilka **milionów** lat)! poprzez przedstawienie sprawdzonych już wyników badań — aż do hipotetycznych, jeszcze w stadium eksperymentalnym znajdujących się wyników, takich jak rekonstrukcja twarzy na podstawie układu kości czaszki. Nie brak tu także ciekawostek historycznych, na przykład ta o bursztynowej komnacie. Dlaczego wykłady na te tematy nie rażą, nie nudzą? Bo autor ma niewątpliwy dar przystępnego podawania wiadomości, gawędziarską swadę, a ponadto mówi o tych sprawach z osobistym zaangażowaniem.

Czy fabułę sensacyjną, a nawet kryminalną „Wyspy Złoczyńców" można wobec tego traktować tylko jak przygodową „przynętę" dla młodych czytelników? Chyba tak, i trzeba stwierdzić, że te właśnie partie książki stanowią zbieraninę najrozmaitszych stereotypów. A więc znane schematy: najpierw spadek, potem ukryte skarby, następnie detektyw-amator i pseudo-detektyw, dalej: kryjówka w lesie, kłusownicy, anonimy, pościg jak w awanturniczym filmie itd. itd. Rzucający się w oczy motyw wtórny: stary samochód-grat, jak u Broszkiewicza, tutaj zwany „samem" (a raczej zasługujący na miano „omnibusa", bo jest także łodzią) daje „znak" do przeżycia przygody i ułatwia „wyjście jej na spotkanie". Postacie? Trzeba przyznać, że nie pozwalają czytelnikowi przeżyć wielkich niespodzianek: winni lub wplątani w aferę od razu się demaskują. Karol W. jest „brunecikiem o twarzy lisa" wąskiej, jak czarnemu charakterowi przystoi. Hertel także od razu wydaje się podejrzany jako właściciel auta kręcącego się w pobliżu miejsc zagadkowych. Hanka — od razu widać, że się boi i że coś ukrywa. Skałbana — od razu wydaje się podejrzane, że pierwszy proponuje wyjaśnienia. Teresa od pierwszej chwili jest antypatyczna, ordynarna i wiadomo, że łatwo namówić ją do złego. W samych zawikłaniach fabuły także dużo jest naiwności: Tomasz Włóczęga zbyt pochopnie z każdym rozmawia, a zarazem zbyt prymitywnie udaje podejrzanego, by sprowokować złoczyńcę, zbyt łatwo ulega nastrojom grozy (noc, las, szmery, coś się czai, może to „on"?) Ponadto sama akcja dość leniwie posuwa się naprzód: jeszcze na s. 127 okazuje się, że Tomasz z trudem dowiedział się rzeczy, o których mówi całe miasteczko. Wrażenie „nasycenia fabułą" spowodowane jest wymyślnymi pseudopowikłaniami i tworzeniem tajemniczej atmosfery.

Jest jednak w książce moment, świadczący o tym, że autor umie powiązać element poznawczy z fabułą sensacyjną. Dotyczy to owej zrekonstruowanej przez plastyka Opałkę twarzy zamordowanego Pluty. Fakt rozpoznania tej twarzy przez sklepikarkę Pilarczykową posuwa sprawę naprzód i sam przez się jest fascynujący. Więcej takich dobrze rozwiniętych motywów — a książka zyskałaby także na wartości jako opowieść sensacyjna.

Mimo tych uchybień książka jest pozycją udaną. Czyta się ją z zainteresowaniem, jest przyjemną pozycją rozrywkową a ponadto — mimo że właśnie skarbów tutaj się szuka — zachęca do włóczęgi ciekawszej i bardziej pouczającej niż poszukiwanie skarbów: po tropach przeszłości, teraźniejszości i przyszłości rodu ludzkiego.

Zbigniew Nienacki „Wyspa Złoczyńców" — Czytelnik 1964

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Pan Darby odłożył rewolwer, kaliber 0.22 i spojrzał na zegarek. 7,17. Jeszcze trzynaście minut do godziny, o której budził się każdego dnia. Te trzynaście minut powinien zużytkować na kilka czynności, które nie mieściły się w jego codziennym, porannym, rozkładzie zajęć. Tylko kilka czynności. Ale jakże ważnych dla przyszłości pana Darby.

Pan Darby zachichotał i pozwolił sobie na roztrwonienie jeszcze dziesięciu sekund, z dumą kontemplując dokonane dzieło. Rewolwer kaliber 0.22 jest bronią nie robiącą zbyt wiele hałasu, a gdy w dodatku strzela się przez poduszkę, słychać tylko głuchy stuk. I pozostaje tylko niewielki, zgrabny otwór.

Pan Darby był z siebie bardzo dumny. Pan Darby myślał sprawnie i kochał porządek.

Odłożył pistolet i obszedł łóżko, na którym leżała jego żona. Odrzucił koc i podniósł materac. Żona pana Darby nie była obdarzona zbyt bujną wyobraźnią. Miała akurat tyle wyobraźni, co stara pokojówka, która chowa pieniądze pod materac. Pan Darby ożenił się z nią przed dwoma laty. Od roku wiedział już, gdzie należy szukać pieniędzy. Problemem było tylko dotarcie do nich. Żona pana Darby utrzymywała od dwóch lat, że jest chora, obłożnie chora. Pan Darby nie wierzył w to nigdy. Ale od 8.30 do 18.30 pracował w biurze i nie mógł sprawdzić, co robi w tym czasie jego chora żona. Podejrzewał jednak, że gdy tylko wychodzi z domu, żona wstaje z łóżka i włóczy się po mieszkaniu aż do chwili jego powrotu. O nie, pan Darby nie kochał swej żony.

Sięgnął po materac i zaczął wyciągać grube paczki banknotów. Banknoty pięciodolarowe, dziesięciodolarowe, dwudziestodolarowe. Nie miał czasu, by liczyć pieniądze. Nie potrzebował ich liczyć. Wiedział, że pani Darby jest bogata. Wiedział, że nie trzyma pieniędzy w banku. Wiedział o tym, zanim ją poślubił. Nikt nie żeni się z miłości ze starą i brzydką kobietą.

Wyjął z szafy teczkę i ułożył w niej paczki z pieniędzmi. Potem — była właśnie 7.30 — wszedł do łazienki. Wrócił do sypialni ze szczotką do zębów i maszynką do golenia i zapakował je do teczki, razem z pieniędzmi i dwoma parami skarpetek. To było wszystko, na co mógł sobie pozwolić. Gdyby wyszedł z domu z walizką, wścibscy sąsiedzi nie oszczędziliby mu pytań. Nowe garnitury postanowił kupić już w Paryżu.

Schodząc po schodach, spojrzał na zegar, wiszący w hallu. 7.40. Kiwnął głową, jakby potwierdzając swą niezłomną zasadę punktualności. Od tej chwili aż do 8.50, kiedy wysiądzie z autobusu, wszystko musi dziać się zgodnie z dokładnym rozkładem czasu, któremu był wierny przez ostatnie dwa lata. Nie bez przyczyny jego sąsiedzi utrzymywali, że mogą regulować zegarki według czynności pana Darby. A tego ranka, właśnie tego ranka, nie może zdarzyć się nic przypadkowego. Każda minuta musi być wypełniona zgodnie z codziennym rozkładem zajęć.

Zegar w kuchni wskazywał 7.43, gdy pan Darby rzucił na patelnię trzy płatki bekonu. Dopiero po chwili stwierdził pomyłkę. Zjadał przecież każdego ranka tylko dwa płatki bekonu. Trzeci był przeznaczony dla jego żony. Zachichotał cicho i potrząsnął głową, zaskoczony pomyłką. Muszę się kontrolować, pomyślał i wyjął z lodówki tylko dwa jajka.

Jajka syczały na patelni. Pan Darby zaczął śniadanie szklanką soku i znów spojrzał na zegar. 7.48. Czas, by wyjąć poranną gazetę i wpuścić Tabby'ego. Przeszedł przez hall, uśmiechając się do siebie. Z prawdziwą przyjemnością każdego ranka wpuszczał do domu Tabby'ego. Pani Darby były kobietą przesadnie dbałą o porządek i nie cierpiała zwierząt. Kot Tabby był jej zdaniem brudną bestią, niszczącą fotele i dywany. Dlatego właśnie pan Darby każdego dnia wpuszczał do domu Tabby'ego. Tabby był jego sprzymierzeńcem w śmiesznym buncie przeciw tyranii żony.

Pan Darby wyszedł na ganek, podniósł zwiniętą gazetę i zawołał miękko:

— Tabby!

Jak co dzień, sąsiadka, wdowa Reese, wyjrzała z okna, i spojrzała na zegarek.

— Zdaje mi się — powiedziała — że albo pan wstał dziś o dwie minuty za wcześnie, albo mój zegarek spóźnia się o te dwie minuty.

Zazwyczaj pan Darby czuł się nieco urażony docinkami pani Reese, dotyczącymi jego punktualności. Ale tym razem powitał uwagę sąsiadki uśmiechem.

— To niemożliwe — powiedział. — Nastawiając wieczorem zegarek, zadzwoniłem do zegarynki.

— To jasne — powiedziała pani Reese. — Mój zegarek się spóźnia. Gdy chodzi o dokładny czas, na pana można zawsze liczyć.

Tabby, giętki i lśniący, zeskoczył z żywopłotu i wślizgnął się do domu. Pani Reese uśmiechnęła się.

— Tabby jest z pewnością pańskim ulubieńcem.

Pan Darby spojrzał na zegarek — 7.51 — i powiedział:

— Proszę mi wybaczyć. Jajka są już zapewne gotowe.

Wrócił do kuchni i postawił na podłodze miseczkę z mlekiem dla kota. Zdjął z kuchenki patelnię z usmażonymi jajkami i zaniósł śniadanie do jadalni. Gdy rozłożył na kolanach serwetkę, była godzina 7.55. Gdy skończył śniadanie, była godzina 8.10. Zabierał się właśnie do lektury porannej gazety, gdy zadzwonił telefon. Pan Darby wstał z fotela i zszedł do hallu.

— To ty, Darby? — odezwał się głos w słuchawce. — Chyba cię nie obudziłem, co?

Pan Darby nie był zaskoczony tym telefonem. Przeciwnie, nawet go oczekiwał. Smitty, jego kolega z biura, zwykł zabawiać się w ten sposób kosztem jego punktualności.

— Ależ skąd, Smitty — odrzekł. — Właśnie skończyłem śniadanie.

Smitty roześmiał się.

— Przewidywałem to. Nawet w czasie urlopu Darby dochowuje wierności swemu rozkładowi czasu.

— Oczywiście, Smitty.

— Baw się wesoło przez te dwa tygodnie — powiedział Smitty. — Będziesz miał czas, by zrobić w domu generalne porządki. No, do zobaczenia! Wszystkiego dobrego!

Pan Darby odłożył słuchawkę i rozejrzał się po mieszkaniu.

— Otóż to — mruknął. — Generalne porządki.

Zadowolony z siebie, wrócił do lektury gazety. Jego sąsiedzi nie wiedzieli, że właśnie tego dnia rozpoczyna urlop. Gdy o 8.30 wyjdzie z domu, będą myśleli, że jak zwykle udaje się do biura. I żaden z nich nie zainteresuje się nim aż do 18,30, kiedy z pewnością zauważą, że jeszcze nie wrócił do domu. O 19.30 zaczną się być może dziwić. O 20.30 poczują się zaniepokojeni. Ale zapewne nie wcześniej, niż o 21.30 zastukają do drzwi — i wezwą policję. Ale będzie to już wówczas bez znaczenia. Gdy wysiądzie z autobusu, weźmie taksówkę na lotnisko, by złapać samolot, który o 9.20 odlatuje do Nowego Jorku. A samolot do Paryża odlatuje z Nowego Jorku o 10,30. Gdy policja odnajdzie jego żonę, on już dawno będzie w Europie. Wystarczy zmienić nazwisko, kupić fałszywy paszport i szukajcie wiatru w polu!

Gdy do drzwi wejściowych zadzwonił dzwonek, pan Darby, przerażony, spojrzał na zegar. 8.21. Kto mógł o tej porze dzwonić do drzwi?

Poderwał się z fotela i otworzył frontowe drzwi. Na ganku stał mężczyzna trzymający przed sobą otwarte pudełko ze szczotkami.

— Pan Darby? Oto są pańskie szczotki.

— Moje szczotki? — pan Darby spojrzał ze zdumieniem i lękiem na przybysza.

— Tak. A raczej pańskiej żony. Przecież państwo zamawiali szczotki. W ubiegłym tygodniu.

Pan Darby spojrzał na zegarek. 8.22.

— Nie rozumiem — powiedział. — Nie zamawiałem żadnych szczotek. Ani ja, ani moja żona. Moja żona jest obłożnie chora. Nie mogła niczego zamówić.

— Ale pan jest pan Darby, tak?

— Tak.

— Pańska żona zamawiała szczotki. Rozmawiała ze mną tydzień temu. Tu, na tym ganku.

A więc jego żona nie była obłożnie chora! A więc jego podejrzenia były usprawiedliwione! Co za nikczemność ze strony tej kobiety!

8.23. Pan Darby wybuchnął gniewem.

Nie potrzebuję żadnych szczotek — krzyknął i chciał zatrzasnąć drzwi. Ale sprzedawca nie zamierzał ustąpić.

— Jak to, panie? Przecież pańska żona zamówiła te szczotki. Może poprosi pan tu żonę?

Pan Darby drgnął.

— Żonę? Nie! W żadnym wypadku! Ona... Ona śpi. Leży w łóżku.

Znów spojrzał na zegarek. Zachowywał się nienormalnie i sprzedawca mógł zacząć coś podejrzewać. Musi się starannie kontrolować. Jest jeszcze czas, by pozbyć się tego człowieka i wyjść z domu o 8,30.

— Ile się należy? — spytał.

— Cztery dolary. I dwadzieścia jeden centów. Rozumie pan, muszę przecież z czegoś...

— Dobrze, dobrze — przerwał mu pan Darby. Sięgnął po portfel i zdrętwiał, przypominając sobie, gdzie znajdowały się wszystkie jego pieniądze.

— Chwileczkę — powiedział. Pobiegł do sypialni i otworzył teczkę. Drżącymi palcami rozdzierał paczki banknotów.

Gdy znów wyszedł na ganek, sprzedawca spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Pięćdziesiąt dolarów? Chyba nie będę miał reszty.

Pan Darby jęknął. Był przekonany, że podaje banknot pięciodolarowy.

— Chwileczkę. Mam więcej... Chciałem powiedzieć, mam drobne...

Przyniósł banknot pięciodolarowy i z westchnieniem ulgi zatrzasnął drzwi za sprzedawcą. Była godzina 8,28. Pan Darby rzucił w kąt hallu pudełko szczotek, które, wiedział to, nigdy nie będą użyte. Włożył kapelusz, poprawił krawat i chwycił teczkę z pieniędzmi. Wyszedł na ganek i po raz ostatni zamknął za sobą drzwi. 8,30. Wszystko było w porządku. Wyszedł z domu zgodnie ze swoim rozkładem dnia.

Pani Reese kopała w ogródku.

— Mój zegarek idzie teraz dobrze — powiedziała. — 8,30, czyż nie tak?

Pan Darby uchylił kapelusza i z uśmiechem ruszył przed siebie.

* * *

Zegar w porcie lotniczym wskazywał 10,15, gdy pasażerowie odlatujący do Paryża wyszli z poczekalni. Pan Darby czuł się znakomicie. Czuł się tak znakomicie, że nawet nie przyjrzał się mężczyźnie w przeciwdeszczowym płaszczu, który sprawdzał paszporty pasażerów. Ale gdy wyciągnął swój paszport, mężczyzna otworzył teczkę i pokazał mu małą, błyszczącą odznakę.

— Zechce pan przejść ze mną do poczekalni. Muszę pana aresztować.

— Ale jak? — zdołał wykrztusić pan Darby. — Jak mogliście to odkryć?

Funkcjonariusz nie usiłował nawet ukryć uśmiechu.

— Nie tylko pan — powiedział — ale i pańska żona przestrzegała skrupulatnie codziennego rozkładu zajęć. Ani na minutę nie odstępowała od swych nawyków.

— Moja żona? Ani na minutę?

— Nie wiedział pan o tym? — funkcjonariusz zdziwił się. — Każdego dnia o 7,49 otwierał pan drzwi, by wziąć gazetę i wpuścić do domu kota. Tak twierdzi pańska sąsiadka, pani Reese. O 8,30 wychodził pan z domu do pracy. A o 8,35 pańska żona otwierała drzwi i wyrzucała kota na ganek... Ale dzisiejszego ranka pani Darby nie wyrzuciła kota. I pańska sąsiadka — wiedząc, że pani Darby jest chorą kobietą — zaniepokoiła się i postanowiła sprawdzić, co się stało.

tłum. I. K.

ROBERT EDMOND ALTER

KOT MORDERCY

Rys. M. Kapuścińska

Lewym okiem

ROZŚPIEWAĆ KIBICÓW

Czy zauważyliście, że w wyróżnionej przez sopocki areopag piosence o biedroneczkach w kropeczki nie ma prawie ani jednego rzeczownika w normalnej, dorosłej formie? Wszystko maluśieńkie i śliczniutkie: u motylka plamek kilka, doleczki w bródce, strofeczki pełne końcówek na „eczki" — zupełnie jak w delirium. Albo jak w wielkiej pieśni masowej; nie wyróżnionej przez żadne festiwale, ale jedynej naprawdę śpiewanej przez wszystkie piętra wszystkich kamienic, na wszystkich imieninach, chrzcinach, świętach kobiet i wczasach niedzielnych: Szła dzieweczka do laseczka...

O piosenkach można nieskończenie. Mówi się, że w niektórych krajach istnieje cały przemysł piosenkarski. U nas musiałby to być przemysł państwowy, ze zjednoczeniem; centralą zbytu i szkoleniem przyzakładowym. Mianowicie przy zakładach nocnego żywienia zbiorowego. Ale o tym już trzeźwo napisał Aleksander Rowiński, polemizując z innym Aleksandrem Rowińskim. Zanim więc Aleksandrzy na dobre się pokłócą, parę słów inaczej.

Oburzał się niedawno w „Kulturze" naczelny sportowy publicysta, Bohdan Tomaszewski, że w przerwie między rozgrywkami wystąpili na jakichś zawodach śpiewacy i śpiewaczki i że niefrasobliwie zagarnęli dla siebie zainteresowanie widowni. To ich obiegano po autografy; a nie młodych sportowców, stojących nieśmiało za kurtyną. Tyle się biedaki natrenowali, namęczyli, a cała popularność nie dla nich. Nie dla pełnych krzepy, zdrowych, grzecznych; prostodusznych chłopców w krótkich spodenkach, tylko dla zepsutych, zblazowanych i uśmiechniętych nonszalancko rycerzy estrady. To skrzyżowanie dwóch światów, trącące profanacją czystego kultu, nie wyjdzie na zdrowie (moralne) młodzieży sportowej. Było tam jeszcze i o tym, że słynne śpiewaczki czasem oprócz własnego podpisu niewiele by potrafiły bez błędów ortograficznych napisać. Nie było natomiast wzmianki, jak się ta rzecz ma u słynnych sportowców. Kończyło się wnioskiem, aby docenić szlachetny trud ludzi, pracujących na międzynarodowe uznanie, i nie zestawiać go z blichtrem krótkich a błyskotliwych śpiewaczych sław.

Nie zgadzam się. Szlachetny trud ludzi trenujących rzucanie młotem ma na celu taką samą estradową popularność, jak sugestywne pojękiwanie przy gitarze dziewczyny o niebieskich włosach. Z takim samym rozdawaniem autografów, wywiadami w prasie i zdjęciami na okładce. Tych wywiadów sportowiec będzie udzielał znacznie więcej niż śpiewak. W żadnym kraju nie zabrakło przecież nigdy papieru na dziesiątki pism, poświęconych wyłącznie sportowi, nie mówiąc o kolumnach sportowych w każdym piśmie bez wyjątku. O piosence zaś pisze się tylko w okresie festiwalu i tylko w nielicznych krajach. Na pewno skoczyć o tyczce jest trudniej i wymaga to więcej pracowitych przygotowań niż odśpiewanie malowanej lali. Jeszcze trudniej zbudować model „Satorego" w butelce po occie i przejść całą Piotrkowską z jajkiem na głowie. No to co? Nie zawsze wkład pracy stanowi o przydatności społecznej efektu, ba — nie zawsze stanowi o cenie produktu. Ludzie walą tłumem na zawody sportowe, krzyczą tam, rzucają czym mogą i wielbią swych faworytów. Dużo mniejszym tłumem walą na popisy piosenkarskie, krzyczą tam, rzucają czym mogą i wielbią swych faworytów. Który tłum jest lepszy? Który ma lepszą rację, godną poparcia?

Redaktor Tomaszewski wie, że kibice sportowi. A nam się wydaje, że w obu wypadkach chodzi po prostu o circenses, o widowisko, potrzebne prawie jak chleb. Nie zaszkodzi widowisku, jeśli się jego elementy urozmaici i pomiesza. Za moich czasów np. turnieje zapaśnicze — a są chyba sportem — odbywały się w cyrku, na przemian z tresurą fok i tańcem na linie. Nie ma się o co obrażać.

Chyba, że albo sport wyczynowy, albo piosenkę zacznie się traktować jak posłannictwo, dorabiać im brody dostojności i pogłębiać fenomenologiczną filozofią. Można i tak. Ale po co?

Biedroneczki są w kropeczki...

CWIEK.

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17 Zam. 2870 IX.64 F-4